



## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

### PRENUMERATA „PRAWDY“

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnieniem do domu.

**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicę: kwartalnie rs. 2, k. 50, rocznie rs. 10

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism periodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

**T R E S C:** *Polityka:* Niespodzianka. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* Sören Kierkegaard, Diapsalmata, tom. Malwina Posner-Garfeln. — *Badania naukowe:* Nowa próba, p. Lud. Krz. — Kartki przyrodnicze. — *Literatura i sztuka:* Literatura francuska, p. W. Bugiela. — „Manfred“ na scenie naszej, II, p. Cezarego Jelente. — *Poezja:* Matematyka, p. Bronisława Wyganowskiego. — *Życie społeczne:* Z Austrii, p. S—z. — Osadnictwo polskie w Ameryce południowej, III, p. Z. A. P. — Liberum veto, p. Posła Prawdy. — *Sprawy ekonomiczne:* Przemysł, handel i finanse. — Z rynku. — Kronika. — Ogłoszenia.

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin odnowienia przedpłaty.

### POLITYKA.

#### NIESPODZIANKA.

Jedną z najniebezpieczniejszych zabawek dziennikarsko-politycznych jest stawianie jakiegokolwiek wróżb o czynach Wilhelma II. Niebezpieczeństwo to zaś wzrasta w miarę większego stosowania logiki. Zgadzać domysłem i trafić — można, ale wszelkie ścisłe rozumowania, wszelkie wyciąganie konsekwentnych wniosków jest drogą najbardziej zawodną. Przypomnijmy sobie krótką historję projektu nowej ustawy szkolnej w Prusach. Autorem jego nominalnym był minister oświaty, ale ponieważ tam maszyna rządowa ma organizację konstytucyjną, ale nie parlamentarną, ponieważ ministrowie są tylko niezależnymi od większości sejmowej urzędnikami króla, wyrażającymi i reprezentującymi jego wolę, więc zdawałoby się, że hr. Zedlitz wniósł swój projekt z wiedzą i zgodą monarchy. Inaczej nawet być nie mogło. Pomijając zresztą niemożliwość formalną, trudno przypuścić, ażeby minister pruski odważył się wystąpić przed sejmem z reformą, mającą dokonać zupełnego przewrotu w oświacie i stosunkach szkolnych państwa, nie pozyskawszy zupełnego uznanie korony. Pierwsze też momenty wywołanej tem przedsięwzięciem walki ujawniły odrazu żywy w niej udział króla. Naprzód całą mocą swej powagi i wymowy poparł hr. Zedlitz kanclerz Caprivi, który również nie występowałby na front z podniesioną chorągwią, gdyby nie był do tego upoważniony i zachęcony z góry. Nadto sam Wilhelm II kilkakrotnie usiłował wywrzeć mocny i bezpośredni nacisk na parlament

w tym kierunku. Gdy mu doniesiono, że komisya obraduje nad projektem szkolnym powoli, odrzekł: „to posiedzą do jesieni.“ Taką stanowczość objawił rząd pod skrzydłem zdecydowanego monarchy.

Cóż się działo w Izbie? Ponieważ nowa ustawa szkolna dogadzała w niebywalej mierze interesom klerykałno-zachowawczym, więc odrazu miała zapewnioną większość w ultramontanach (centrum) i konserwatystach. Prawiliszorokie i długie mowy postępowcy, demokraci, narodowo-liberalni itd., ale strona zwycięzka niewiele zwracała uwagi na ton „próżny gniew bez sił.“ Uchwalala więc paragraf po paragrafie i już dobiegała do końca, gdy nagle spada na nią szczególna niespodzianka, mianowicie wiadomość, że król oświadczył się przeciw projektowi, wniesionemu w jego imieniu i przez jego dwu ministrów, którzy skutkiem tego podali się do dymisji. Jeżeli w pierwszej chwili nikt nie wierzył tej nieprawdopodobnej wieści — trudno się temu dziwić. Bo jakże wytłumaczyć sobie fakt, że monarcha stanął w opozycji względem własnej woli, która znalazła większość w parlamencie? Jest to poprostu dziwotny konstytucyjny i logiczny. A przecież tak się stało. Z jakiej przyczyny? Obiegające dotychczas rozwiązania zagadki należą do osobliwego rodzaju wyjaśnień. Wilhelm II miał oznajmić, że nie zgodzi się na ustawę szkolną przyjętą przez samych konserwatystów i ultramontanów bez narodowo-liberalów. Dlaczego właśnie niezbędnymi okazali się narodowo-liberalni, stronnictwo liczebnie dość słabe, moralnie zdyskredytowane? Jeśli zaś posiada jakąś szczególną wartość i sympatyę korony, czemu odrazu nie przykrojono ustawy do jego życzeń? Darcemnie mnożylibyśmy pytania — nie znajdziemy na nie odpowiedzi.

Gazety opozycyjne dowodzą, że król uległ naporowi opinii publicznej, której przeważny prąd, nieprzyjazny projektowi, pozostaje w przeciwieństwie do większości sejmowej. Być może, ale dlaczegoż uległ dopiero teraz? Dlaczego wtedy, kiedy profesjo-

rowie uniwersytetów ogłaszali swoje prototypy, ze szczególną siłą akcentował konieczność przeprowadzenia ustawy szkolnej?

Z tego odmętu najprzeróżniejszych pytań wydobywa się jedno przypuszczenie najprawdopodobniejsze: Wilhelm II, pozwalając, czy też polecając ministrowi oświaty, ażeby ten wniósł do sejmu projekt reformy nie pojmował należyte ani jej celów, ani doniosłości i dopiero teraz, bądź skutkiem rozpraw parlamentarnych, bądź skutkiem wpływu innych doradców korony (głównie Miquela) spostrzegł, że pobłądził i zakomenderował odwrót. Zapewne, lepiej wcześniej cofnąć się, niż wchodzić na manowce; ale jeżeli podobne omyłki trafiają się często, naród traci zaufanie do przewodnictwa a całe jego życie ogarnia zamęt. Zamęt ten coraz bardziej wzmaga się w Niemczech, nikt nie widzi jasnej drogi, stałego kierunku a „nowy kurs“ układa się z ruchów i zwrotów improwizowanych.

Do ostatnich dni na sztandarze rządu widniały hasła konserwatywno-reakcyjne, a najjaskrawszym ich wyrazem był projekt szkolny. Teraz po usunięciu go rozbrzmiewają znowu godła liberalno, a kto wie, co przyniesie jutro. Niewielkie mieć to będzie następstwa, gdy odejdzie Zedlitz lub nawet Caprivi; równomiernego ministra oświaty i kanclerza znajdzie sobie Wilhelm II łatwo; ale nie łatwo przejedna obrażonych ultramontanów i konserwatystów, dwa potężne stronnictwa, stanowiące łącznie zastęp liczny i w walce niebezpieczny. Gdyby nie podrażniono pożądań tej rzeszy tak wielkim darem, jak ustawa szkolna, szłyby ono dalej za wskazówkami rządu i zadawały się mniejszemi ustępstwami; dziś przy wzmożonym apetycie nie poprzestaną na tym kąsku ci, którym obiecano całego wołu. Niewątpliwie też obie te partie zajmą stanowiska opozycyjne, a ponieważ pozostało nie dadzą rządowi większości, znajdzie się on więc bez parlamentarnego gruntu. Jedynym wyjściem z tego błędnego koła byłoby rozwiązanie sejmu i gra wyborcza na pozyskanie żywiołów przyjaznych.



Czy rząd niemiecko-pruski chwyci się tego środka, czy też dalej próbować będzie tańca wśród mieczów? Wkrótce zobaczymy.

### TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Przesilenie ministeryalne w Prusach a po części i w Niemczech roznamiętnia ciągle umysły i nie zapowiada rychłego końca. Minister oświaty już jest podobno skazany na usunięcie, a nawet dla wyleczenia się ze skutków niestrawności swego urzędu wyjechał do Karlsbadu. Kto będzie jego następcą — nie wiadomo. Trudniej sprawa idzie z Caprivim. Posunąwszy się za daleko w obronie projektu szkolnego, wraz z jego skompromitowanym twórcą poprosił o dymisję. Cesarz mu jej odmówił i pragnąłby koniecznie zatrzymać kanclerza, którego lubi, który jest pracownikiem sumiennym i zbyt ważnym, ażeby bez złego wpływu na wewnętrzne i zewnętrzne intryki państwa można go było odprawić. Obecnie więc naprawiacze przełomu usiłują wynaleźć taki środek, który by pozwolił Capriviemu odciąć nici, łączące go z projektem szkolnym i pozostać nastanowisku. Wskrzyszono więc myśl, która zrodziła się jeszcze za rządów Bismarka, oddzielenia prezydentury w gabinecie pruskim od kanclerstwa niemieckiego. Jeżeli ten rozdział będzie dokonany, Caprivi jako prezes ministrów pruskich, a więc ojciec chrzostny projektu szkolnego, ustąpi, a jako kanclerz, niemający związku z tem uduszonem niemowlęciem, pozostanie.

Z początku mniemano, że zaziębienie Wilhelma II było czysto dyplomatyczne. Tymczasem okazało się, że on rzeczywiście jest niezdrów i dlatego przebywa w Hubertusstock, na wsi, gdzie czyste powietrze ma uleczyć katar płucny. Tam też pielgrzymują ciągle ministrowie i doradcy korony, przyjmujący udział w obecnym przesileniu.

Przesilenie to pochłania całą uwagę polityczną Europy tak dalece, że w ciągu ubiegłego tygodnia gazety wprost nie miały innego materiału. Nie mogła go naturalnie zrównoważyć gorsząca sprawa Milana w skupczyźnie serbskiej, która z tego i z innych powodów zawiechrzyła się waśniami.

Między osobistościami wybitnymi padły wzajemne oskarżenia najcięższej wagi moralnej, a właściwie niemoralnej. Co do rezygnacyi Milana, jej koniec, jak mówi przysłowie, utonął w wodzie. Mianowicie kwestya wynagrodzenia króla za jego zrzeczenie się wszelkich praw przeszła w okros krycia prawdy pod korcem. Czy on dostanie żadaną rentę roczną od 2 milionów franków, czy też nie, trudno orzec. Naród temu wyyskowi opiera się, a regenci pragnęliby tą ostatnią (czy ostatnią?) ofiarą pożyć się wreszcie pijawki i wiechrzyciela. Jednocześnie również trwa w Serbii małe przesilenie. Skupczyzna uchwaliła votum nieufności ministrowi wojny, który skutkiem tego podał się do dymisyi.

Przyciszyła się już nieco wrzawa dzienników paryskich, podniesiona przeciw Carnotowi, którego nagle postawiono pod zarzutem prowadzenia polityki własnej — „polityki pałacu elizejskiego.“ Prezydent Rzeczypospolitej miał jakoby „zaprzedać ją papieżowi,“ wprowadzić do Francyi tajemną furtkę klerykalizm itd. Jest w tym krzyku aż nadto przesady. O ile człowiek, zwłaszcza stojący na czele państwa, może się zaprzedać osobistych przekonań i poddać swoją wolę cudzej, o tyle Carnot to czynił i czyni. Trudno wszakże od niego wymagać tej ofiary, której nie wymagamy od najmniejszego urzędnika, ażeby on nie miał żadnych zasad, żadnych pragnień, żadnych dążeń politycznych, ażeby się stał martwym manekinem, obwieszonym godłami najwyższego dostojenstwa. Taka „cnota“ przechodzi po prostu siły ludzkie i gdyby była koniecznym warunkiem godności prezydenta Rzeczypospolitej, doprawdy chyba żaden człowiek ceniący się w najskromniejszej mierze po tę godność by nie sięgnął, gdyż musiałby naprzód przestać być człowiekiem, jednostką czującą i myślącą, obywatelem kraju.

### BADANIA NAUKOWE.

#### NOWA PRÓBA.

Nauka o istocie społeczeństwa przedstawia szczególny widok. Psychiatra ze zdi-

wioniom spojrzalby na śmiałka, który bez odpowiedniego przygotowania zacząłby rozprawiać o rzeczach i zjawiskach duchowych, o których nie posiada żadnego istotnego pojęcia; tak samo postąpiłby też biolog lub fizyk. Tymczasem ci sami ludzie czynią nieustające najazdy na dziedzinę socjologiczną, bez znajomości faktów czysto społecznej natury określają prawa, rządzące rozwojem życia zbiorowego, i wysnuwają różne teorie rozwoju gromadzkiego. Naturalnie, nie chodzi nam tu o mandarynów, którzy by sami posiadali prawo zabierania głosu, co więcej nawet chińszczyzny zawodowo-naukowej bynajmniej nie uważamy za coś niezbędnie potrzebnego do postępu wiedzy. W szerokim zrzeszeniu wysiłków naukowych widzimy środek wyzwolenia nauki z więzów ślimaczej specjalizacyi, a jednocześnie pchania jej naprzód. Mówią wszakże o chwili obecnej, winniśmy liczyć się z jej warunkami. Przypuszczam, że dyktant wypowie nie jedną trafną uwagę i że to uczyni nawet częścią i procentowo obficie, niż fachowice, lecz jednocześnie muszą dodać, że jedynie potężny umysłem i crudycyą uczonej może wprowadzić wiedzę na nową drogę. Stosuje się to również i do zjawisk społecznych. Pragnęlibyśmy uniknąć tu pewnego nieporozumienia. Nie należy mieszać nauki socjologicznej z walką interesów i wypowiedaniem potrzeb społecznych. W tym razie każdy najlepiej umie ocenić swoje położenie i bez przygotowania specjalnego pojąć środki najodpowiedniejsze do polepszenia bytu. Co więcej, w tym razie niejedon nawet wybitny uczonej posiada ciaśniejszą głowę dla zrozumienia pewnych wydarzeń, niż nieuk, którego interesy i położenie są dotknięte. Lecz zagadnienia praktyczne a uswiadomienie sobie istoty przebiegu dziejowo-społecznego są to rzeczy zgoła najodmienniejsze. Tymczasem ciągle mieszana bywa ta okoliczność wypowiedzenia swoich potrzeb i zdolność najlepszego o nich wyrokowania z prawem wydawania sądu o rzeczach, wprawdzie niekiedy z tem ściśle związanych, lecz mimo to wymagających nieraz długiego przygotowania. W ten sposób powstają bezustanne zachcianki wśród biologów, psychologów, fizyków pisania długich rozpraw o istocie społeczeństwa, wraz z ufnością, że każdy

Sören Kierkegaard.

## DIAPSALMATA \*)

Grandeur, savoir, renommée  
Amitté, plaisir et bien  
Tout n'est que vent, que fumée:  
Pour mieux dire, tout n'est rien.

Co to jest poeta? To człowiek nieszczęśliwy, który w sercu nosi ból piekący, którego usta jednakże tak są uformowane, że wpływające z nich jęki i westchnienia wpadają w cudze ucho jako piękne tony muzyczne. Dzieje się z nim, jak z owymi ofiarami, które niegdyś w byku Falarisa pieczone były na wolnym ogniu, podczas gdy ich narzekania nie przestraczem, lecz muzyką wesołą wpływały do uszu tyrańca. I ludzie rojem otaczają poetę i mówią do niego: „Daj nam pieśń, a rychło,“ to znaczy: aby dusza twoja stała się pastwą nowych cierpień, a usta twoje pozostały nie-

zmienione; bo jęk trwogą by nas przejął, a muzyka — muzyka, to rzecz słodka. A recenzenci przystępują i mówią: W porządku — tak należy — według reguł estetyki. No, to się rozumie, recenzent jest podobny do poety, tylko że nie ma bólu w sercu, a śpiewu na ustach. I dlatego, zaprawdę, wolę być pastuchem bezrogów na Amagerbro, pastuchem przez świnię zrozumianym, aniżeli poetą, nierozumianym przez ludzi.

Ludzie są nierozsądni. Nie korzystają ze swobód, które posiadają, natomiast żądają takich, których nie posiadają. Mają swobodę myślenia — żądają swobody mówienia.

Wiadomo, że istnieją owady, które w chwili złączenia się piciwego giną. To dola każdej radości: moment najwyższej, najwspanialszej rozkoszy życia zjawia się w towarzystwie śmierci.

Starość urzeczywistnia marzenia młodości. Czyż nie jest dowodem Swift? Jako chłopiec budował dom dla waryatów, na starość sam w nim osiadł.

Wrota do szczęścia nie otwierają się na wewnątrz, tak, iżby je pchnąć i odeprzeć było można. Otwierają się z wewnątrz; na nic więc wszelkie starania.

Moje zdanie o życiu jest zupełnie bezsensowne. Przypuszczam, że zły duch włożył

mi na nos okulary o dwojakich szklach: podczas gdy jedno w niezwykłej mierze powiększa przedmioty, drugie zmniejsza je w tym samym stopniu.

Niech inni skarżą się, że czasy są złe: ja się skarżę, że są nędzne, bo pozbawione wszelakiej namiętności. Myśli ludzkie są cienkie, przejrzyste, nikłe jak koronki, które znów są współuczucia godne w równym stopniu, jak prządki. Myśli ich zbyt są marne, aby można o nich powiedzieć, że złe lub grzeszne. Byłoby może grzechem, gdyby tak myślał robak, lecz nie człowiek stworzony na podobieństwo Boga. Pragną — wedle miary, bezbarwnie, ospale. Wszystkie te kramarskie dusze wypełniają swoje obowiązki, pozwalają sobie jednak — w tym względzie nie różni od żydów — złote i srebrne monety obinać trochę na brzegach; myślą sobie, że chociaż Bóg prowadzi księgi nader porządnie, to jednak okpić go trochę można. Fól! Dlatego też dusza moja zwraca się wciąż do Starego Testamentu i do Shakespearo'a. Tu człowiek *czuje*: tu mówią *ludzie*; tu się *nie* nawiądzili, tu się *ko*cha, zabija nieprzyjaciela, przeklina potomstwo przez wszystkie pokolenia; tu się grzeszy.

Godność ludzka znajduje przecież jeszcze trochę uznania w przyrodzie: dla odstraszania ptactwa od drzew owocowych stawia się zazwyczaj coś, co wygląda jak człowiek; a nawet takie słabe podobieństwo z człowiekiem, jakie przedstawia straszny-

\*) *Diapsalmata* — wyraz, odpowiadający spotykannemu często w Sytuaginie i Psalmach znakowi „Sela.“ Znak ten stoi zawsze po słowach akcentowanych i ściśle jest z nimi związanych. Prawdopodobnie używano go jako wskazówkę dla Instrumentów, które dla silniejszej akcentacyi natenczas albo grzmiąco odezwać się, albo zwolna przebrzmieć miały. Kierkegaard tłumaczy tę nazwę lirycznym przeważnie charakterem aforyzmów. (*Przyp. Hom.*)



z nich, chociaż nie badał faktów rozwoju społecznego i zna je jedynie ze szkolnych podręczników historii, da zdumionemu światu po raz pierwszy dokładne pojęcie o przedmiocie. Każdy taki rozmach zwykle kończy na przyrównaniu społeczeństwa do organizmu, systemu planetarnego i na innych przenośniach, a socjologia zamienia się na rozdział jakiś dodatkowy fizyki, biologii, psychologii. Ktoś ogłosił, że cały rozwój społeczny to wynik tego lub innego ustosunkowania sił ciężenia i odpychania; ktoś inny w nim widzi jedynie walkę o byt — taką, jak w świecie organizmów zwierzęcych. Wszystkie te próby niefortunnie nie doczekały się jeszcze należytej oceny! Przeciwnie, dochodzą niekiedy do niezasłużonej sławy, jak pomysły Supińskiego. Niektóre, jak Bagehot'a, zdobyły jeszcze szersze uznanie, nosząc szumną nazwę „przyczynków“ do poznania istoty społecznej. Właśnie obecnie mamy przed sobą jedną z takich, która jest pierwszą — przynajmniej o ile sięga nasza znajomość przedmiotu — usiłowaniami systematycznego ujęcia pewnych zapatrywań i poglądów, chociaż oddawna wygłaszanych, lecz nigdy jeszcze nie przedstawionych w takim zwartem powiązaniu. Autorem jest wybitny psychiatra włoski, Silvio Venturi \*). Książkę swą poświęcił on zbadaniu pewnych zwyrodnień duchowych, związanych z czynnością rozrodczą wśród ludzkości, wykracza wszakże po za fakty natury czysto osobniczej i usiłuje zbudować „fizo-patologię“ organizmu społecznego. Oto jak sam kreśli swoje zadanie: „Zastosuję probierz w ciągu dalszym, pozyskany dzięki znajomości fizjologii i patologii życia płciowego u zwykłej przeciętnej jednostki do życia społecznego i postaram się za pomocą analogicznej metody biologo-pozytywnej nakreślić podstawy krytyki historycznej i wyrokowania o stanie obecnym ludów oraz nadziejach na przyszłość.“ Jak widzimy, zadanie nader rozległe. Jakże je autor rozwiązał?

Znane powszechnie jest prawo, sformułowane przez Haeckla, że rozwój życia osobniczego stanowi skrócone powtórzenie dziejów rodowodowych tego gatunku, do

\*) S. Venturi. *Le degenerazioni psico-sessuali nella vita degli individuali nella storia della società*. Turyn.

którego dana jednostka należy, oraz inne, określone przez Comto'a, a mianowicie że członek wykształcony społeczeństwa przebiega w swej umysłowości te same fazy, przez jakie przechodziła ludzkość: teologiczną, metafizyczną i pozytywną. Otóż myśl, wyrażona w powyższym zapatrywaniu, jest bezustannie powtarzana na wszystkie możliwe głosy. Jäger, jeden z tych ludzi, którzy usiłowali zamienić socjologię na rozdział biologii, wypowiada np. zdanie, że każda jednostka w ciągu swego kształcenia się cywilnego powtarza w skróceniu wszystko wybitniejsze chwilo ewolucji, przez które przechodziła jej narodowość. Wreszcie Venturi uogólnia to twierdzenie na wszystkie objawy życia osobniczego, dochodząc w ten sposób do założenia, że ontobiologia jest przyspieszonym streszczeniem etnobiologii. Co więcej, nietylko mniema, że życie jednostkowe jakiegos obywatela jest skróceniem rozwoju narodu, lecz posuwa się jeszcze dalej, bo odwraca powyższą zależność i wypowiada zdanie, że ponieważ pojedynczym okresom osobniczym odpowiadają okresy dziejowe, przeto można odbudować historię pownego narodu z przebiegu rozwojowego żyjących jego członków! Samo społeczeństwo jest dla Venturiego osobnikiem szczególnego rodzaju, „organizmem biologicznym“, którego części pojedyncze są organicznie z sobą spojone. „Członkowie społeczeństwa stanowią całość jednolitą, która znajduje swój wyraz w jednolitości typu fizycznego i moralnego, w tożsamości warunków ogólnych otoczenia, w stosunkach krwi, interesów i wymiany, we wspólności języka, religii, tradycji, pragnień. Psychiatra włoski sądzi, że taką organiczną budową społeczeństwa określi najlepiej, używając zamiast tego terminu inny: narodu czyli rasy, oba te bowiem pojęcia miesza na bezustannie, uważając każdą grupę narodową za rasę odmienną. Narody dla niego są względem ludzkości tem samem, czem odmiany zwierzęce względem gatunku, jednostki zaś w odniesieniu do gromady. „Rasa“ taka czyli „społeczeństwo“, będąc organizmem biologicznym, podobnie jak każdy organizm posiada swoją młodość, dojrzałość, zgrzybiałość, wreszcie śmierć, wyczerpując się czy to z powodów zewnętrznych czy też

drogą wewnętrznego wyniszczenia ze starości. Niekiedy ów organizm społeczny schodzi ze świata bezpłodnie, niekiedy zaś pozostawia po sobie potomstwo. Podobnie jak dwie jednostki, łącząc się z sobą, wydają na świat nowe osobniki, tak samo ze zjednoczenia organizmów-narodów powstają nowe organizmy społeczne. Otóż, zdaniem Venturiego, z podobieństw pomiędzy prawami dziedziczności osobniczej a rasowej wyprowadzić główne fakty historii cywilnej jest to oprzeć krytykę historyczną na podstawie biologicznej! Następstwo jednej „rasy“ po innej, np. „włoskiej“ po „rzymskiej“, przyrównywa on do stosunku pomiędzy synem a ojcem i usiłuje wyprowadzić stąd cały szereg wniosków, które uzmysłowia na przykładzie dziejów języka. Syn po ojcu odziedzicza mowę i wzbogaca ją w miarę potrzeb życia. Lecz nastaje starość i wraz z nią traci on tę zdolność, mowa jego staje się mało giętką. Jeśli będzie to jakiś akademik, zbyt wyszkolony i skostniały, dziecko jego w młodym wieku zupełnie odrzuci nieelastyczny ojcowski sposób wypowiedzania myśli. To samo dzieje się ze społeczeństwem, kiedy ono zaczyna starzeć się i energia zbiorowa nie ma siły. Nastaje okres klasycyzmu: jednostajności i zdrętwiałości zwrotów i wyrazów. Nowa „rasa“, zwykle rubaszna, niecywilizowana, nie może poddać się temu skostnieniu i poczyna się robotą dziejowa wytwarzania języka odpowiedniejszego.

Czem jest życie „narodu-rasy“, tego osobnika społecznego? Venturi kreśli nam drobniawo ów mechanizm dziejowego życia zbiorowego. Postaramy się w kilku słowach streścić jego wywody. Ktoś osiada na kawałku ziemi i żyje z niej. Półki jest młody, zwraca pilną uwagę na zastosowanie lepszych środków uprawy i usiłuje na każdym kroku zwiększyć zasób swojej wiedzy. Lecz z wiekiem zdolność ta postępuje zanika, a rolnik zmienia się na rutynistę. Tymczasem dorasta syn jego. Jakkolwiek skala nmysłowa obniżyła się u ojca, jest wszakże wyższa, niż była w początkach młodości, i syn przyjmuje ten spadek, wzmagając go i znowu ku starości częściowo trwoni, lecz nie zupełnie wyczerpuje się ze swego dorobku itd. W ten sposób uprawa gruntu i technika gospodarska wciąż ulega-

dło na ptaki, wystarcza, aby skrzydlaci obywatele z należnym zachowali się szacunkiem.

\* \* \*

Większość ludzi tak gwałtownie ugania się za życiem, że w biegu mija rozkosz, nie zatrzymawszy się przy niej. Ludziom dzieje się, jak owemu karłowi, który w zamku swoim strzegł uwiedzioną księżniczkę. Pewnego dnia zdrzemnął się po obiedzie. Kiedy przebudził się po godzinie, księżniczki nie było. Prędko wdział siedmiomilowe buty i jednym krokiem minął ją na ogromną przestrzeń.

\* \* \*

Dziewczęta nie podobają mi się. Piękność ich niknie jak sen, jak dzień wczorajszy, który już minął. Wierność ich — ha, wierność! Albo są niewierne — no, o tem niema co myśleć; albo są wierne. Przypuszcmy, że znaję wierną — podobałaby mi się, jeżeli jest czemś niezwykłym. Z biegiem czasu przestałaby mi się podobać. Bo albo pozostałaby wierną, a natenczas ja stałbym się ofiarą mojej eksperymentującej idei, o ilebym z ową dziewczyną musiał wytrzymać; albo też nadeszłaby chwila, w której dziewczyna przestałaby być wierną. I oto miałbym znowu dawną historję.

\* \* \*

W pewnym teatrze zapaliły się kulisy; wystąpił na scenę bajazzo, aby publiczność o wypadku zawiadomić. Wzięto to za dowcip i posypały się oklaski. Bajazzo po-

wtórzył ostrzeżenie: oklaski sypnęły się jeszcze rześściej. Wyobrażam sobie, że podobnie świat zginie wśród ogólnej radości dowcipnych głów, które pomysła, że i to dowcip.

\* \* \*

To, co filozofowie wypowiadają o rzeczywistości, częstokroć jest tak zwodnicze, jak szyld kramu z napisem: Tu znajduje się magiel. Niech kto przyniesie bieliznę, aby ją zmaglować!... Szyld jest tylko wystawiony na sprzedaż.

\* \* \*

Łosos jest rybą bardzo delikatną; jeśli wszakże zjemy jej za wiele, staje się szkodliwą, bo jest potrawą ciężko strawną. Kiedy przeto w Hamburgu raz połów łososiów był bardzo obfity, policya nakazała, aby każdy gospodarz domu służbie swojej dawał łososia niewięcej nad jeden raz w tygodniu. Podobny dekret przydałby się na sentymentalność.

\* \* \*

O smutku moim powiadam, co anglik mówi o swoim domu: smutek *is my castle*. Są ludzie, którzy uważają swoje smutki za potrzebę życia, bez której byłoby im niewygodnie.

\* \* \*

Mam odwagę do wątpienia, zdaje mi się, o wszystkim; mam odwagę do walczenia, zdaje mi się, z wszystkimi i przeciw wszystkiemu; lecz brak mi odwagi, aby coś poznać, brak mi odwagi, aby coś posiadać na

własność. Większość ludzi uskarża się na to, że świat jest zbyt prozaiczny, że w życiu dzieje się inaczej, niż w powieści, gdzie wszystko zawsze „tak dobrze się składa“. Ja utyskuję, że życie niepodobne jest do powieści, bo gdzież w niem zwalczać można okrutnych ojców, czarodziejów i złe duchy, gdzie w nim zakłete księżniczki, któreby wyswobodzić można? Cóż znaczą wszyscy wrogowie w porównaniu z blade-mi, bezkrwistemi, upartemi widmami nocy, przeciw którym walczę, a które sam do życia powołuję?

\* \* \*

Czas mój dzieje tak: w połowie śpię, w połowie — śnię. Śpiąc, nigdy nie śnię, bo spać — to genialność najwyższa.

\* \* \*

Rezultat mego życia wyraża się w niczem, w nastroju, w pojedynczej barwie. Rezultat ten poniekąd stanie się podobnym do obrazu owego malarza, który miał otworzyć przejście żydów przez morze Czerwone, a zabarwił całe płótno czerwoną farbą, zapewniając: „żydzi już przeszli, egipcyanie — utonęli!“

\* \* \*

Oplakana doło moja! Napróżno, niby stara kurtyzana, różem pokrywasz pomarszczone oblicze; napróżno zagłuszasz mnie dźwiękiem dzwoneczków błazna. Nudzisz mnie — zawsze to samo, *idem per idem*. Żadnej zmiany, wiecznie odgrzewane dania! Przychodź, śnie ostatni! Przychodź



ją doskonaleniu, lecz sam przebieg postępu będzie szedł rytmicznie, gdyż największa dojrzałość postępową ojca nie złowa się z chwilą, kiedy siły umysłowe syna zaczynają się rozwijać. Postęp ów będzie dążył wciąż w antagonizmie i rozterce pomiędzy pokoleniem ojców a synów. W ostatecznym wyniku otrzymamy rozwój postępowy rodziny. Lecz sama rodzina, siedząc na tem samem miejscu, starzeje się i chyli ku upadkowi, póki nie złączy się z jakąś inną i nie da początku nowej, która posunie dalej postępek. Wreszcie z walki osobników wewnątrz rodziny i rodzin pomiędzy sobą otrzymujemy pierwiastki postępu ogólnonarodowego. Odbywa się on nienastannie podczas wieku młodego i dojrzałego w narodzie i cofa się dopiero w okresie zgrzybiałości społecznej. Lecz mimo ciągłego podnoszenia się jest on rytmiczny. Venturi przypomina tutaj różno wypowiedziane w tej mierze poglądy o rytmiczności zjawisk społecznych, aż do twierdzenia niejakiego Ferrari, według którego przebieg dziejowy narodów rozpada się na okresy, liczące każdy po lat 125, ta zaś na trzy podokresy równe, po lat 33, odpowiadające długości życia umysłowego następujących po sobie pokoleń ludzkich.

Opuszczamy zresztą te wywody i szczególne, rozszerzone w dalszym ciągu do całego rodu ludzkiego, w którym po jednym „osobniku-narodzie“ nastaje drugi i rozpoczyna znowu rytm rozwoju postępowego. Wracamy do założenia, że naród jest szczególnym osobnikiem biologicznym. Jednostki wszakże są różnego rodzaju, zdrowe, chorowite i patologiczne; jedne żyją krótko, inne długo itd. Venturi zbyt zapuścił się w różne analogie, ażeby go nie skusiły rozmaite z tego powodu porównania, a prztem ponieważ jest psychiatrą, z góry można przewidzieć kierunek jego rozumowań i jakości otrzymanych rezultatów. A zatem, podobnie jak mamy kretynów, czyli — jak mówi nasz autor — ludzi wciąż młodocianych, tak samo istnieją narody wciąż dzikie bez zdolności ruchu postępowego. Jak przy należytej higienie można przedłużyć życie osobnika, to samo można powiedzieć o organizmie społecznym itd. I znowu pozostawiamy autora przy takim przelewaniu z pustego w próżne, czytelnik bowiem

z powyższych kilku przykładów nabrał już dostatecznego pojęcia o reszcie. Natomiast zatrzymamy się jeszcze nad ostatecznym wynikiem praktycznym całej pracy Venturiego. Wiemy, że społeczeństwa mają swoją starość i wreszcie śmierć. Otóż następuje się pytanie, w jakim okresie życia znajdują się obecne narody Europy. Psychiatra włoski ani chwili nie waha się co do odpowiedzi. Jesteśmy zgrzybiałymi starcami, a w tem upewnia go podobieństwo stanu dzisiejszego do ostatnich chwil Rzymu! Zmniejszająca się liczba małżeństw, wzrost potomstwa nielegalnego i dzieciobójstw, upadek wstydlivosti publicznej, potrzeba coraz większych narkotyków, uwydatniająca się w literaturze i sztuce, wszystkie te fakty życia rozrodczego świadczą dlań o naszej zgrzybiałości płciowej, wzrost samobójstw wraz ze zwyrodnieniem fizycznym, wybuchające zbrodni dowodzą starości organicznej. To samo ma zachodzić w innych dziedzinach życia społecznego. A tymczasem wobec zgrzybiałości „osobników-narodów“ Europy zachodniej nie spozstrzega Venturi żywołów, z którymi złączywszy się zdołałyby one wydać potomstwo nowych ludów — chyba że Europa zostanie zalana przez fale ze Wschodu.

Mamy tedy w książce pisarza włoskiego rozwinięty konsekwentnie i systematycznie szereg założeń, z którymi spotykamy się na każdym kroku tu i owdzie w rozproszeniu. Venturi zebrał to wszystko, ułożył zwarcie, nie wahając się postawić kropki nad i. Całej znikomości tego budynku socyologicznego nie potrzebujemy dowodzić, rzucić się ona od razu w oczy każdemu, czyje wykształcenie socyologiczne oparło się nie na czczych ogólnikach, lecz na istotnych studiach. A Venturi nie zjeździe ze świata bez śladu! Naprzód zaznaczmy, że podobnych zamków na lodzie jest wiele. Spencera lub Lilienfelda organizm społeczny, Tardę'a przyrównanie społeczeństwa do kosmosu, a praw rozwoju społecznego do praw interferencyi fali, są takimi samymi wzorkami. Otrzymujemy „gramatyki.“ „logiki“ społeczne, „niemowlęstwa“ i „śmierci“ organizmów społecznych, „nerwy“, „pępki“ i „kulkki krwi“ społecznej. Niestety, jednak znajdują się ludzie, którzy pozerają jedynie taką wiedzę socyologicz-

ną, i znachorzy, którzy gotowi karmić innych taką niestrawną papką. Lecz cóż począć z tym faktem, że różne te „genialne“ uogólnienia wzajemnie się wykluczają? Że pomiędzy „kosmosem“ a „osobnikiem“ istnieją przepaści nie do zapełnienia? I oto rozpoczyna się próba pogodzenia „wszechstronnego“ tych wszystkich uogólnień oraz pysznienie się z takiej szczególnej umiejętności trawienia wszystkiego. W gruncie rzeczy książki podobnego rodzaju stanowią jedynie pociechę dla fabrykantów papieru i właścicieli drukarni, lecz istotną szkodę dla tych, którzy nie zdołali znaleźć pożywniejszego pokarmu i w pogoni za wiedzą socyologiczną zabrnęli w ten świat „organizmów“, „kosmosów.“ Wyjdą z nich albo filozofujący blagierzy, poprzestający na takich ogólnikach i przeciwstawiający jakiegokolwiek Tardę'a chociażby potężnym myślicielom, których wyłoniła krytyczna szkoła w ekonomii, lub niedołęgi, niewiedzący, czego chcą i podający byle książkę do czytania, gdyż według nich „każda“ kształci, zwłaszcza z zakrojem „filozoficzno-uogólniającym...“

Lud. Krz.

### KARTKI PRZYRODNICZE.

Nowe planety. — Fotograficzna mapa nieba. — Plamy na słońcu i zmiany klimatyczne na ziemi. — Proch bez dynu.

Odkrycie nowych planet stanowi dla niektórych astronomów osobliwy rodzaj sportu, jak odkrycie nowych gatunków zwierząt i roślin dla systematyków. Rok ubiegły wzbogacił nasz układ planetarny o 21 planet, powiększając ich liczbę ogólną z 302 do 323. Większa część tych nowych przybyszów nie otrzymuje innej nazwy, prócz numeru porządkowego. Przeważną część odkryli Palissa (w Wiedniu) i Charlois (w Nicey). Wyszukanie tych drobnych gwiazdek ruchomych wśród miliardów gwiazd nieruchomych, widzialnych przez teleskopy, wymaga szczególnej wprawy i zdolności; to też widzimy, że wciąż prawie ci sami astronomowie dokonywają odkryć na tem polu. Palissa od r. 1874 do 1891 odnalazł 80 asteroidów (przeciętnie 10,6 na rok); Charlois od 1887 do 1891 — 25 (tj. około

śmierci! Nie nie obiecujesz, dotrzymujesz — wszystkiego.

\* \* \*

Na czem zasadza się właściwie znaczenie życia? Jeżeli podzielimy ludzi na dwie wielkie klasy, to powiedzieć można: jedna — pracuje, aby żyć, druga — pracować nie potrzebuje. Lecz pracować, aby mógł żyć, nie może stanowić znaczenia życia: boć tkwi sprzeczność w twierdzeniu, jakoby ustawiczne staranie się o warunki miało być odpowiedzią na pytanie o znaczenie tego, co przez owe warunki jest *uwarunkowane*. Życie pozostałych jednostek wogóle też nie ma znaczenia, chyba jeżeli zjadanie warunków życia nazwiemy się „znaczeniem.“ Zdanie, że żyje się po to, aby umrzeć — także samo w sobie jest sprzecznością.

\* \* \*

Trzeba wielkiej naiwności, ażeby uwierzyć, że przez krzyk i wołanie czyjkolwiek los na świecie się zmieni. Trzeba go przyjmować takim, jakim jest — bez myśli o przyszłości. Kiedy jako młody człowiek przychodziłem do restauracji, zwykłem był mawiać za innymi: „A słuchaj no, kelner, daj dobry kawałek mięsa, bardzo dobry, wierzchni część, niezbyt tłustą.“ Kelner pewnie nawet słów tych nie słyszał, nie mogło być mowy o ich uwzględnieniu, nie mogło być mowy o tem, ażeby żądanie moje doszło aż do kuchni, aż do kucharza; a jeżeli doszło, to może w całej pieczeniu nie było dobrego kawałka mięsa. Dzisiaj już nie wołam.

\* \* \*

Jednego mam przyjaciela — echo. A dlaczego echo jest mi przyjacielem? Bo kocham mój smutek, a echo smutku mi nie odbiera. Mam tylko jedną powiernicę — ciszą nocną; a dlaczego jest moją powiernicą? Bo milczy.

\* \* \*

Nigdy nie byłem wesoły; a jednak zawsze zdawało się, jakoby w orszaku moim znajdowało się wesoło, jakoby wokoło mnie pisały lekkie duchy radości, dla ludzi niewidoczne, nie dla mnie jednak, którego oczy świeciły radością. Kiedy szczęśliwy i wesoły przechodziłem koło ludzi, a oni mi szczęścia zazdrościli, śmieją się; bo gardzę ludźmi i mszczę się. Nigdy nikomu nie chciałem uczynić nic złego, a jednak, kłopotliwie się do mnie zbliżył, wyglądem zdradzał gniew, obrazę. Kiedy słyszę, jak chwala kogoś za wierność, za uczciwość — śmieję się; bo gardzę ludźmi i mszczę się. Nigdy dla nikogo twardy sercem nie byłem; lecz zawsze, właśnie w chwilach najwyższego rozrównienia, z pozoru wydawałem się człowiekiem, wyciętym z serca i uczuć. Kiedy słyszę, jak chwala kogoś za jego dobre serce, kiedy widzę jak innych kochają za głębokie, bogate uczucie — śmieję się; bo gardzę ludźmi i mszczę się. Kiedy widzę, jak mnie przeklinają, unikają, nie nawidzą za chłód i brak serca — śmieję się; i gniew mój zostaje nasycony. Gdyby istotnie dobrzy ludzie doprowadzili mnie do tego, iżbym rzeczywiście nie miał słuszności, ha, wtedy przegrałbym istotnie.

\* \* \*

Poza kołem moich licznych znajomych mam jeszcze serdecznego powiernika: mój smutek. Wśród największej radości, podczas pracy, daje mi znaki, woła mnie na stronę, chociaż ciałem niby pozostaje na miejscu. Ta moja melancholia — to najwierniejsza kochanka moja! Cóż dziwnego, że i ja ją kocham.

\* \* \*

Nie nie chcę. Nie chcę dotrzeć konia; to ruch zbyt silny; nie chcę chodzić: to zbyt nużące; nie chcę się położyć: bo albo musiałbym leżeć, a leżeć nie chcę, albo musiałbym wstać, a tego z pewnością nie chcę. Słowem: nie nie chcę.

\* \* \*

Strach człowieka bierze, na wspomnienie, z jaką hypochondryczną głębokością anglicy dawniejszej daty starali się objaśnić istotę śmiechu. Dr. Hartley uczynił spostrzeżenie, że śmiech u dziecka jest powstającym płaczem, zbudzonym przez ból, albo też jest nagle powstrzymanem, w krótkich przerwach powtarzającym się uczuciem bólu (p. Flögel, *Historia literatury komicznej*, T. I, str. 50). I co? A gdyby tak wszystko w świecie opierało się na nieporozumieniu? A gdyby śmiech istotnie był tylko... płaczem?..

Tłom. Malwina Posner-Garfein.



5,7 na rok). Olbrzymie przedsięwzięcie od-fotografowania całego nieba wkrótce po-łoży kres temu amatorstwu; jeśli dotych-czasowi poszukiwacze wyławiali asteroidy jakby wędkami, to przedsięwzięcie owo porównać można do olbrzymiej sieci, przez którą gęste oczka wymkną się zaledwie najdrobniejsze z planet.

Rozpoczęto je w roku zeszłym z inicja-tywy dyrektora obserwatorium w Paryżu, p. Mouchez (1887). Trzy lata upłynęło na organizowaniu pracy; 18 obserwatoryów, umieszczonych w rozmaitych punktach kuli ziemskiej, przystąpiło do wykonania, roz-dzieliwszy między sobą cały obszar nieba. Na każdej tafelce (umówionego rozmiaru i stopnia czułości, przy jednakowo długiej ekspozycji) zdjęte będą 4 stopnie kwadra-towe. Dla uniknięcia błędów fotografic ma-ją być brane w ten sposób, aby każda gwia-зда znalazła się przynajmniej na dwu tafelkach. Czas ekspozycji (40 minut) poz-woli utrwalić wszystkie gwiazdy do 14-ej wielkości, a ilość tafelk nie będzie mniej-sza, niż 22,000.

Zdjęcie tego samego punktu nieba na dwu tafelkach w odstępie 24 godzin po-każe już, które z gwiazd zmieniły swoje położenie. Wtedy potrzeba będzie tylko od-szukać wędrowca na niebie i obliczyć elementy orbity na podstawie kilku spo-strzeżeń. Metodę tę zresztą już zastosował Max Wolf w Heideibergu; na każde dwie tak odkryte gwiazdy ruchome jedna oka-zywała się asteroidem znanym, druga no-wym.

Oddawna już został wykryty związek pomiędzy niektórymi zjawiskami ziemskie-mi, przebiegającymi peryodycznie a zjawi-skami kosmicznymi. Najbardziej zależne od tych ostatnich są zmiany magnetyzmu ziemskiego. Kreil w r. 1841 wykazał, że na stan magnetyzmu ziemskiego wpływa po-łożenie księżyca. Sabine znalazł, że pomię-dzy dwiema kulminacjami księżyca (t. j. chwilami, w których on zajmuje najwyższe położenie na niebie) bywa 2 maxima i 2 minima zboczenia igły magnesowej, czyli uchylenia jej na wschód i na zachód od po-łudnika miejsca spostrzeżenia. Jeszcze więk-szy wpływ okazuje słońce: nachylenie igły magnesowej, tj. jej zboczenie od położenia poziomego oraz napięcie siły magnetycznej na ziemi bywają największe wtedy, gdy ziemia jest najbliżej słońca, tj. około czasu przesilenia zimowego.

Wkrótce wykazano związek pomiędzy zjawiskami magnetycznymi i zorzą półno-cną, a plamami słonecznymi Wolf, Gautier, Lamont i Sabine wykryli, że zboczenia igły magnesowej odbywają się w peryodach 10—11-letnich; Schwabe zaś na podstawie wieloletnich spostrzeżeń znalazł, że w tych samych odstępach czasu bywa najwięcej plam na słońcu. Łącząc te spostrzeżenia, Sabine przyszedł do wniosku o ścisłym związku pomiędzy zaburzeniami magne-tycznymi na ziemi, a plamami na słońcu. Zostało to potwierdzone przez innych bada-czów, a okres czasu pomiędzy największą ilością plam słońca obliczono na 11,1 lat. Ostatnie nagromadzenie się jego plam było w r. 1882; w roku więc bieżącym i przy-szłym można się spodziewać nowego maxi-mum plam, zarówno jak zaburzeń magne-tycznych. W związku z zaczynającą się czynnością słońca zostaje niezawodnie zo-rza północna, która była widzialna na pół-nocy Europy i Ameryki 14 lutego b. r.

Trudno dziś wyrzec, o ile zjawiska te wpływają na stan pogody. Ponieważ plamy słoneczne uważane są za wynik oziębiania, możnaby przypuścić, że w latach, gdy się ukazują w wielkiej ilości, promieniowanie słońca jest zmniejszone, a zatem lata te powinny być zimniejsze. Pomiaru dokła-dne nie stwierdzają jednak tego przypusz-czenia, a jeśli nawet wykazują zmniejsze-nie promieniowania, to w tak nieznacznym stopniu, że nie może ono wpłynąć na zmia-

nę temperatury ziemskiej. Spostrzeżono jednak, że słupy, na których spoczywają dokładne przyrządy w obserwatorium ber-lińskim, wykazują pewne zmiany położe-nia zależne od temperatury, które odbywa-ją się w odstępach czasu zgodnych z peryo-dami plam słonecznych.

Według spostrzeżeń Brücknera następu-ją na ziemi lata ciepłe i suche naprzemian z wilgotnymi i chłodnymi w odstępach ro-gularnych 35-cio letnich, a zgodnie z tem ulega podobnym zmianom i ogólny stan pogody na ziemi (ciśnienie powietrza, ilość osadów atmosferycznych, ciepłota, wiatry). Posunął ten uczony badania swoje aż do XVII stulecia, wykazując, że zimne lata były około r. 1670, 1700, 1740, 1780, 1815, 1850, 1880; ciepłe zaś około 1680, 1720, 1760, 1795, 1830 i 1860. Jeśli ta praw-dliwość istnieje rzeczywiście, zbliżamy się obecnie do okresu cieplejszego. Na czem jednak polega ta peryodyczność, trudno dziś nawet przypuszczać odpowiedzieć; prawdopodobnie jednak nie jest ona w zwią-zku z przebiegiem plam na słońcu.

Francuski proch bez dymu, który przed kilku laty sprawił tyle wrzawy przestał już być tajemnicą stanu, a jednocześnie nadzie-je, które w nim pokładano, okazały się cokolwiek przedczesnymi. Przytaczamy tu kilka szczegółów w tym przedmiocie z przemówienia d-ra Lepsiusa na zgroma-dzenia lekarzy i przyrodników w Halli.

Od dość dawna już stosowano kwas pikrynowy jako materiał wybuchowy. Proch Désignolle'a składał się z pikrynianu amo-niaku i azotanu baryty. Proch ten, fabry-kowany we Francji, używano do ładowa-nia torpil.

Ogromne wrażenie sprawiła wiadomość o przyjęciu przez rząd francuski w r. 1886 prochu B. do strzelby Lebel. Tajemnica jednak nie mogła trwać długo. Wkrótce rządy angielski i niemiecki posiadały próbki nowego produktu. Były to małe kwadraciki, jakby wykrojone nożyczkami z cienkich tafelk masy rogowatej, bruna-tno-żółtej. Dzięki analizom Abla poznano, że główną składową częścią tego prochu jest kwas pikrynowy; okazy, które badano w Niemczech (Scheibler), zawierały prócz tego bawełnę strzelniczą. Proch ten, zda-niem Lepsiusa, nie posiada tej trwałości, jaką powinien mieć bojowy, a liczne wy-buchy (Belforte, Monmartre), spowodowane przez rozkład melinitu, zawierają-cego również związki pikrynowe, ostrzegają o niebezpieczeństwie wytworów z tej substancji.

Natomiast inny związek ściągął na sie-bie uwagę pirotechników. Najlepszym ma-teryałem do otrzymania prochu bez dymu jest bawełna strzelnicza. Przy spalaniu wy-twarza ona tylko kwas węglowy, azot i wo-dę; nie zostawia zatem żadnych związków stałych, a powstająca przytem woda jest w stanie pary przy temperaturze wybuchu i tworzy tylko przedko przemijającą mgłę. Do zalet tego ciała należy i to, że wglę-znie nie przeszkadza wybuchowi. Zawiera-jąca nawet 30 procentów wody bawełna strzelnicza łatwo wybuchła od kapsli z pio-runianem rtęci; wszelkie zaś manipulacye z wilgotną bawełną są zupełnie bezpieczne. Siła wybuchu jest przytem większa, gdyż powietrze zawarte pomiędzy włóknami su-chej bawełny, jako ciało sprężyste, osłabia siłę, woda zaś jest prawie nieściśliwa.

Siła wybuchu jakiegokolwiek związku zależy naprzód od objętości wytwarzają-cych się przytem gazów, powtórę od pręd-kości spalania się materyi wybuchowej, czyli od prędkości, z jaką następuje roz-szerzenie się tej objętości gazów. Przy spa-łaniu prochu zaledwie 40 proc. jego prze-mienia się na gazy; reszta zostaje w stanie stałym, po części zanieczyszczając strzelbę, po części sprawiając dym. Kilogram pro-chu daje 270 litrów gazów; zaś sama ilość bawełny strzelniczej — 859 litrów. Fala

wybuchowa szerzy się w prochu z pręd-kością 10 metrów na sekundę; w bawełnie strzelniczej z prędkością 5,000—6,000 m. Jeśli więc kilogram prochu wymaga  $\frac{1}{100}$  sek. do spalania, kilogram bawełny strzel-niczej spali się w ciągu  $\frac{1}{50000}$ — $\frac{1}{60000}$  sek. Przyczyna tej kolosalnej różnicy prędkości spalania jest zrozumiała. W prochu ciała, które się łączą podczas spalania (tlen za-warty w saletrze z siarką i węglem) są tyl-ko mechanicznie zmieszane. Badając proch pod mikroskopem, możemy rozróżnić ziarn-ka pojedynczych składowych jego części. W bawełnie strzelniczej wszystkie atomy, przez połączenie których wytwarzają się gazy wybuchowe, zgromadzone są w je-dnej cząsteczce chemicznej; odległości więc między tymi atomami są bez porównania mniejsze.

Ale właśnie ta prędkość spalania się, która czyni bawełnę strzelniczą nieocenio-ną dla min i innych podobnych zastosowań, stoi głównie na przeszkodzie do użycia jej w broni palnej. Materiał wybuchowy od-powiada najlepiej wymaganiom balistyki, gdy jego spalanie się trwa przez cały czas, przez który pocisk zostaje w lufie. Spalę-nie przytem musi odpowiadać ruchom po-cisku: powolne z początku, powinno odby-wać się coraz prędzej w miarę tego, jak wzrasta prędkość kuli w lufie, aby się skoń-czyć w chwili, gdy pocisk wylatuje z broni. Ciśnienie gazów przy spalaniu bawełny strzelniczej, dosięgające prawie chwilowo 10,000 atmosfer, uszkodziłyby broń, nie da-jąc pociskowi całej tej prędkości, jaką by dać mogło przy spalaniu powolnem. Usiło-wania więc pirotechników skierowały się ku temu, aby zmniejszyć prędkość palenia się bawełny. Zadanie to według Lepsiusa jest dziś zupełnie rozwiązane.

Przed dwudziestu laty bracia Hyatt, dru-karze w Newark (w Stanach Zjednoczo-nych), wpadli na myśl robienia walców do naprowadzania farby drukarskiej z baweł-ny strzelniczej, rozpuszczonej w roztopio-nej kamforze, jako substancji, mniej ule-gającej wpływom wilgoci, niż zwykle uży-wana na ten cel żelatyna. Ciało to otrzy-mało nazwę celuloidu oraz liczne zastoso-wania (cygarniczki itd., naśladowanie rog, kość słoniową itd.). Podobnemu przekształ-ceniu ulega bawełna strzelnicza, będąc roz-puszczona w jakichkolwiek innych cie-czach: mieszaninie alkoholu i eteru (kollo-dium), acetonie, eterze octowym itd. Prze-mienia się ona przytem na masę jednorodną, przezroczystą, galaretowatą, której łat-wo nadać formę pożądaną. Masa ta, będąc wysuszona, wybuchu nie tak prędko, jak zwyczajna bawełna strzelnicza, a jeśli ilość domieszki jest dość znaczna i pozostaje, tj. ciało rozpuszczające nie usuwa się po wy-suszeniu, może być uczyniona zupełnie bez-pieczną. Z takiej masy robią obecnie proch armatni, nadając mu kształt ziarenek sześciennych o krawędzi od 1 do 4 mm. Alfred Nobel, używając nitrogliceryny do rozpuszczania bawełny, otrzymał t. zw. ga-laretę wybuchową, która dziś wyrugowała prawie dynamit. Zmieniając proporcję tych dwóch ciał, można otrzymać galaretę o rozmaitej sile wybuchowej. Zawierając 90 na 100 nitrogliceryny, posiada ona nad-zwyczajną siłę miążdzącą; przy małej ilo-sci nitrogliceryny otrzymuje się substan-cya, która pod nazwą prochu Nobla zastoso-wana została do broni palnej. Krupp ro-bił doświadczenia z tym prochem udosko-nalonym przez Heidemanna (t. zw. proch „C/89“) i doświadczenia wypadły bardzo pomyślnie.

Dodaniem środków obojętnych można osłabić siłę wybuchu w dowolnym stopniu, a przez to otrzymać gatunki prochu, odpowiadające wymaganiom każdej broni. Na tej więc drodze możliwe są wszelkie udo-skonolenia, a bliższe poznanie własności ciał organicznych uczyni niezawodnie moż-liwym otrzymanie związków, zupełnie od-



powiadających wszelkim wymaganiom ba-  
listyki.

Smutna to perspektywa tak niewdzię-  
cznego zastosowania odkryć naukowych!

## LITERATURA I SZTUKA.

### LITERATURA FRANCUSKA.

Alphonse Daudet. *Rose et Ninette*. Paryż 1892.

„Od piętnastu dni rozwiedziony, upojony  
szczęściem, że już skończyły się raz jego  
męki Régis de Fagan wyglądał przez szeroko  
otwarte okno swego kawalerskiego  
mieszkania, wyczekując dwu córek, Róży  
i Ninetki. Trybunał przyznał mu dwie nie-  
dziele na miesiąc, dziś była pierwsza jego  
niedziela...”

Tak zaczyna się nowa powieść Alfonsa  
Daudeta: „Róża i Ninetka.” Subtelna i mi-  
sterna, jak koronka brabancka, nie obej-  
muje ona szerokich widnokręgów, nie ogar-  
nia mas. Tło jej: życie rodzinne, powsze-  
dnie, szare postacie, przesuwać się w niej  
przed naszymi oczami, ani o pół linii nie  
przerastają innych, codziennych spotykanych.  
Styl zaś jej i przeprowadzenie tak celują  
pięknem i świeżością, że przy czytaniu jej  
zdaje ci się, jakbyś chłonał fale wiosenne-  
go powietrza. Już choćby dla tych dwu zalet  
można uważać ostatni utwór Daudeta za  
świeży liść wawrzynu, wpleciony w wieniec  
jego sławy.

Régis de Fagan, jeden ze świeczników  
literatury francuskiej zeni się z kobietą zupeł-  
nie dla niego nieodpowiednią. On lubi  
spokój i ciszę, nie chciałby wydalac się z do-  
mu, ona próżna i chępliwa, marzy tylko  
o teatrze, i wystawach. On człowiek ser-  
deczny i szczerzy, ona złośliwa, skryta i lu-  
biąca kłamstwo. On całą duszą kocha swe  
dzieci, ona stroi się i wdzięczy do „kuzyn-  
ków.” Prędko więc ostygają miłość, a w ży-  
cie wkłada się fałszywa nuta rozdzwiku.  
Dreżąc się wzajem i nie znosząc. Nareszcie  
kiedy rozluźniły się wszystkie węzły, które  
ich łączyły, podają się do rozwodu i otrzy-  
mują go.

Przy matce pozostają dwie córki, Róża  
i Ninetka. Pierwsza, dziewczyna młoda, ho-  
za jak kwiat rozchylający pączki, druga  
dzieciak mały, zacięty, z naturą matki.  
Obie niedawno wyszły z klasztoru, gdzie  
wszczepiono w nie zasady chrześcijańskie  
i przepisy szyku. Co dwa tygodnie przyjez-  
dzają na cały dzień do ojca.

Z jakim upragnieniem on ich oczekuje,  
W niedzielę, kiedy mają przybyć, cała  
przyroda stroi się dlań w szatę świąteczną.  
On patrzy: nie widzi, bo radość nie daje  
mu rozwijać myśli. Z całego Paryża znosi  
dla swych dzieci przysmaki, ubiera dla nich  
stoł bukietami, wiezie je na przechadzkę  
do lasków okolicznych. A kiedy wieczorem  
odjeżdżają, ze łzami w oczach, ze smut-  
kiem na twarzy wyciska na ich czole poca-  
łunki.

Lecz córki nie czują jego miłości. Ilekroć  
mają wybrać się do ojca, matka wsącza po  
kropelce jadu i zniczula je na dobroć, na  
serdeczność. Ninetkę całą ma w swym rę-  
ku, Różę usidla zazdrością. Jej dawny mąż  
żyje w przyjaźni z właścicielką zamieszka-  
nego przezeń domu, panią Hulin, roznieca  
wiedząc o duszy Róży podejrzanie, że owa  
pani jest metresą ojca. Nie dziw, że dziew-  
czę, które tak kochał Fagan, które pieścił  
i nosił na rękach, nie może znieść, aby on  
kochał jeszcze kogo innego.

Ilekroć więc zajrzą obie dziewczyny do  
domu ojca, tylekroć zraniają jego kochające  
serce. Lecz rany zablizniają się, a pisarz  
dramatyczny Vaudeville'u i Teatru francu-  
skiego kocha córki, jak przedtem.

Pani Ravaut, jego dawna żona, gotuje się  
tymczasem do zamążpójścia. Kobięzec słu-

był ściśle przed nią naturalnie „kuzyn,”  
La Posterolle. Ravaut biorąc rozwód, zo-  
bowiązała się nie wyjeżdżać z Paryża, ale  
cóż znaczą zobowiązania wobec miłości.  
Jeśli kuzyn wyjedzie, to i ona. I wychodzi  
za mąż. Kuzyna przenoszą do Ajaccia, sto-  
licy Korsyki.

Pani Ravaut chce zabrać z sobą jedną  
córkę. Wysyłając Różę i Ninetkę do ojca,  
połącza ich pamięci tę sprawę. Fagan obu-  
rza się, gniewa, ale gniew jego jak cyklon  
gwałtowny, jak cyklon prędko przechodzi.  
Za poradą pani Hulin pozwala zabrać, nie  
tylko jedną, ale dwie córki. Ustąpił jej  
pan — radziła przyjaciółka — niech sobie  
jadą z nią. Ona żąda, aby ta, która zosta-  
nie, zamieszkała w klasztorze, a do pana  
tylko raz na dwa tygodnie zaglądała. Tem  
pan tylko zatrujesz młode serce pozostałej.  
Będzie uważać cię za kata, a matkę za  
anioła. A jeśli pojedą, to może uprzykrzą  
się matce, może zaatakują za ojcem i wtedy  
same pana poproszą o przytułek.

Córki jednak na Korsyce wesoło spędza-  
ją czas. Swoim wdziękiem i szykiem zdo-  
bują wziętość przybranemu ojcu. O bie-  
dnym zaś rodzonym zapominają. Ten tra-  
wi dni w smutku, nareszcie przyjeżdża na  
Korsykę. Tu zamieszkuje *incognito* w ho-  
teli, pisze do dawnej żony list z groźbą, że  
sam przyjdzie do jej domu, jeśli ona do  
niego nie wyśle córek i wieczorem naresz-  
cie trzyma w swych objęciach i swą dużą  
kochaną Różę i dorastającą już, rozkwita-  
jącą Ninetkę.

Przyjemne te wieczory korsykańskiel  
Dzień przewleka się w nudach, lecz wie-  
czorem, kiedy księżyc wypłynie na niebo,  
zaczyna się rozkosz. Fagan siada gdzieś  
nad morzem, w ustroniu i czeka na dzieci;  
nareszcie dolatuje go ich srebrny głos, zma-  
cony grubym basem ich towarzyszek, gu-  
wernantki angielskiej. Siadają wszyscy na  
brzegu, Ninetka sadowi się na jego kola-  
nach, Róża wspiera mu się na ramieniu.  
Przed nim błyszczy srebrzyste, niezmiernie  
morze, bijące ciężkimi, spienionymi fala-  
mi o brzeg, po prawej ręce mruga do nich  
żrenica latarni morskiej, mionąc się to  
czerwoną, to zieloną barwą, w głębi wyspy  
widac jak drzą chwiane lekkim wietrzy-  
kiem cienie gałązek wonnych zapachem  
pomarańcz, potrząsanych od czasu do cza-  
su urywającym się i spadającym na dół  
owocem. „Słuchajcie, jak gdyby ktoś szedł...  
tędy, nie tamtędy...” I wszyscy troje tula  
się do siebie, wszyscy troje wybuchają  
śmiechem, bo to upadł tylko jakiś dojrzwały  
owoc, gdzieś daleko.

Gazę ich szczęścia przecina znowu pani  
La Posterolle. Maskarada zbliża się, córki  
muszą przygotowywać się do niej. I ojciec  
musi dla córek opuścić Korsykę. Lecz bu-  
rta zrywa się, kiedy ma odpływać jego stat-  
ek, kapitan okrętu powraca do miasta,  
a Fagan chcąc jeszcze raz widzieć swe  
dzieci, przebiera się i z tłumem masek  
przebiega salony dawnej swej małżonki.  
Ta mści się za to, donosząc, że pan Fagan  
na Korsyce dostał obłąkania. Przez trzy  
dni z rzędu posyła depesze do Paryża o sta-  
nie jego choroby.

W Paryżu Fagan zastaje niemilą nie-  
spodziankę. Pani Hulin wyjechała. Chcąc  
prosić znajomego swego radcę Malville'a  
o bliższe szczegóły o rodzinie pana Rémory  
starającego się o jego córkę, odwiedza go  
i w ciągu rozmowy dowiaduje się, że mąż  
pani Hulin, z którym ona od dłuższego już  
czasu nie żyła, zastrzelił się. Więc pani  
Hulin wyjechała do Havru, do rodziny  
męża.

Biednemu dramaturgowi zdaje się, że ju-  
trzonka wschodzi na jego horyzont. Do  
pani Hulin czuł taką sympatyę, tak kochał  
jej dziesięcioletniego synka. Ona opowia-  
dała mu o przebytech mękach, o utrapio-  
niach, jakich doznawała od męża, on spow-  
wiadał się jej z bólów, które szarpały da-  
wniej lub teraz jego serce. Podsuwał jej  
myśl zamążpójścia, wzięcia rozwodu, lecz

ona myśl tę odpychała. „Rozwód dzieli  
męża i żonę — mówiła — ale jeśli są dzieci,  
te dzieci wciąż pozostają między nimi”.  
Nie chciała więc. Teraz zaś jej dreżyciel  
skończył i ona wolna jak ptak. Może też  
wyjdzie za niego.

Uzucie radości, zmieszane ze smutkiem,  
który budził się na wspomnienie dawnego  
życia z panią La Posterolle, wstrząsa jego  
umysłem. W marzeniu widzi niebieskie,  
głębokie oczy pani Hulin, pełne serdeczno-  
ści i czułości, mały salonik zalany światłem  
lampy i rozbrzmiewający szebisotem jej  
synka, przechadzki, wzajemną miłość i sza-  
cunek. Spotkanie pary znajomych arty-  
stów, którzy kochają się i lubią, jak mało  
dzieci, którzy mimo kilkunastoletniego po-  
życia wciąż jeszcze żyją w wonnej atmosfe-  
rze miłosnych marzeń młodości, budzi nowe  
wrażenia w jego duszy. Wraca do domu  
prawie chory, a nazajutrz leży bezprzyto-  
mny.

Ta choroba zaczyna nowy okres jego  
cierpienia. Córki nie przybywają do niego,  
na szczęście wraca pani Hulin. Całymi  
dniami siedzi przy nim i czuwa. Za to Róża,  
kiedy naroszcio raczyła odwiedzić ojca,  
obraża ją do żywego: oświadcza ojcu, że  
wyjdzie, jeśli on nie każe odejść pani Hulin.  
Ojciec, oburzony, zgniewany, bolejący, że  
jego córka, która nie pamiętała o nim, śmie  
tak znieważać tę osobę, która jak siostra  
nim się opiekowała, każe jej wyjść. Tu  
się kończy właściwa powieść. Fagan w  
kilka dni po ozdrowieniu widzi się jeszcze  
ze swą żoną, przyrzeka jej być obecnym na  
ślubie Róży, obiecuje pamiętać o wianie  
Ninetki, ale miłości do obu córek w jego  
sercu nie ma już ani iskiorki. Zgasły jej  
płomyk, — robi wszystko tylko z obowiąz-  
zku.

Jak widzimy, brak tu zupełnie intrygi,  
zawiłości. Są to kartki, wyrwane z wiel-  
kiej, szarej księgi życia, pisanej łzami, o-  
wianej westchnieniami. Fagan powoli u-  
mierca, jego serce ojcowskie otrzymuje cios  
po ciosie, a choć nie kończy śmiercią fizy-  
czną, to jednak nie żyje już pełnią życia.  
Jego żona jak robak zawzięty, krew ciepłą  
spijający, toczy kwiat jego nadziei, jego  
córki przesiąknawszy trucizną, którą wpu-  
ściła w nie matka, zaprawiają mu goryczą  
tak długo wyczekiwano dnia szczęścia.  
Przez wszystkie rozdziały tej po mistrzow-  
sku opowiedzianej historii śledzimy tylko  
rozwój smutku Fagana, idziemy za jego co-  
raz szerszej płynącą falą. Rozłowa się on  
naroszcio na wszystkie prawie osoby powie-  
ści: panią Hulin, której żywot był szlakiem  
cierni i niedoli, na małego jej do życia bie-  
gnącego synka, na obie niewdzięczne, w  
gruncie duszy niczłe, córki...

Przez cały ciąg powieści nie odstąpił  
Daudet ani na krok od swej dawnej meto-  
dy. Unikanie psychologii, zastępowanie jej  
odpowodnim doborom scen, w ostateczno-  
ści niekierowanie się do opowiadań lub listów  
spotykamy i tutaj. O historii Régisa do-  
wiadujemy się dopiero z jego opowiadania,  
o wewnętrznych jego walkach i cierpieniach  
więcej wiemy z ich uzewnętrznienia, niż  
z opisów. Zamilowanie Daudeta do postaci  
łagodnych i dobrych objawiło się tu również  
z całą siłą: promienie jego artyzmu całymi  
pekami igrają na biednym Faganie, na pa-  
ni Hulin, na Róży, gdy tymczasem pani  
Ravaut i Ninetka są do połowy jakby przy-  
ślonione. Nie podnoszę tu już trzeciej co-  
chy Daudetowskiej — kroślenia po mistrzow-  
sku oświatlonych blaskami ogniska rodzin-  
nego scen z życia domowego, bo już samo  
streszczenie uwydatniło tę cechę.

Należałoby powiedzieć kilka słów o war-  
tości społecznej tego utworu. Łatwo mo-  
żna wziąć go za pocisk wymierzony prze-  
ciw rozwodowi, gdy tymczasem rzecz ma  
się przeciwnie. „Róża i Ninetka” jest tylko  
smutnym skonstatowaniem faktu, że roz-  
wód, osobliwie jeśli są dzieci, nie przecina  
wszystkich nici, które wiążą dawnych mał-  
żonków, że te dzieci właśnie stanowią oko-



wy, które gdy raz wpiją się w duszę obojga małżonków, nie dadzą się z nich wyrwać chyba razem z życiem. Takie skonstatowanie faktów jest czemś innym, niż narzucanie poglądów. Naturalizm ma jedną zwłaszcza dobrą stronę: choć mileży, pokazuje jednak rany. Kto chce, może te rany leczyć.

W. Bugiel.

## „MANFRED“ NA SCENIE NASZEJ.

### II.

Rzecz prosta, iż kto chciał w jednej postaci zgromadzić i wyjątkowość wiedzy i niobywałość cierpienia i nadludzkość woli, ten pokusił się o dzieło niemożliwe, o połączenie rysów nieraz wrogich sobie. Z najwyższym pogrzebieniem nie może chodzić w parze najwyższa buta, z czystym idealizmem — próżność alpinisty, z bajecznymi nieszczęściami bajeczna tęsknota do Faustowskiej idei absolutnego piękna. To też Manfred jest chaosem sprzeczności. Błaga królową gór, aby wskrzesiła zmarłą i prawie omdlewa w swej modlitwie, a gdy chcą mu uczynić zadosyć i żądają tylko posłuszeństwa, on jak dziki rumak — słowa Eschylosa o Prometeuszu — staje dęba. Gdy zszedłszy do państwa Arymana może już widzieć Astartę za skromną cenę ukorzenia się przed nim, nietylko że klęknąć nie chce, ale żąda, aby przed nim władca piekielny ukląkł. A co najważniejsza, bo w tem się streszcza cały charakter Byrona, samo Przeznaczenie uznaje wobec wszystkich nietykalność i nadziemskość Manfreda i wyjednywa mu *osobliwe przywileje*. Wywraca ono cały porządek naturalny, gdy z całą powagą uznaje byt jakiegoś gatunku pośredniego między bóstwem a człowiekiem, a poeta tak dalece traci poczucie prawdy i granic możliwości, że każe swemu bohaterowi umierać zagadkową śmiercią, która nie jest ani samobójstwem, ani aneuryzmem serca, ani kresom dłuższej choroby jakiej, lecz poprostu zgonem niebywałym, niby dobrowolnym powrotem do przenikającego świat Bóstwa.

Takich sprzeczności i dziwów w utworze tym stek. Są one naiwne, jak sama młodość, ale wspaniałe i porywające jak zorza poranna.

Oprócz się *Manfredowi* nie łatwo. Można widzieć i jasno sobie zdawać sprawę z wszystkich jego wad kompozytorskich, z ciężkich nawet, bo głównych grzechów poetyckich, ale to nie pomoże: pojedyncze dysonanse i dysharmonie zagłusza swym łoskotem, żywiołową naturą poety. Chwyta ona słuchacza za gardło, za pierś — potęgą elementarną uczucia i chętności, zuchwałstwem wyobraźni i roszczeń. Ażeby mózgi wymyśleć i napisać coś równie gigantycznego i bajecznego zarazem, trzeba być kolosem naiwności i kolosem ducha.

Siła tych dwu prąsł właśnie huczy w *Manfredzie* i naszą sympatyę gwałtem sobie uzurpuje...

Niezwykłość żądź musi mieć za warunek niezwykłość widowni. Manfred-Byrona wogóle czuł się obcym wśród ludzi, „cudzoziemcem ich świata.“ „Lew jest samotny — mówił — i ja także.“ Godnym towarzyszem był mu ów orzeł, przelatujący nad szczytami Jungfrau (dla teatru należało oczywiście scenę tę wypuścić), lodowce, niedostępne wirchy. Tylko przyroda z całą swą grozą i majestatem wydawała mu się odpowiednim druhem: z nią rozmawiał, jej widokiem karmił się. Do otchłani morskiej mówił w *Childe Haroldzie*: „Jam ciebie, oceanie, kochał zawsze stale.“ Oto właściwe i ulubione otoczenie Byrona. W *Manfredzie* jest ono tem bardziej wytłumaczonym; a nadto wobec fantastyczności rojeń kojarzy się z drugą wyszukaną sferą: duchów i widzia-

deł. I tym sposobem mimo całą niedowarzonność swego układu i psychologii, dramat nastęrcza teatrowi wysoce wdzięczne zadanie, daje mu pole do roztoczenia pysznych krajobrazów i bogactwa barw i kształtów czarodziejskich. W dodatku jeden z najgłębszych liryków muzyki, snadź porwany technieniem owej przedziwnej indywidualności, podłożył pod *Manfreda* muzykę i tem ułatwił mu do reszty wstęp na deski sceniczne. Nie wiemy, co mówią i myślą o zasłudze Schumana fachowcy — my w jego melodyach i instrumentacji widzimy ciche, bezdenne skupienie, sam śpiewny eter w aryach, które towarzyszą niby leitmotywy, ukazaniu się pewnych duchów, rozdzierający ból w niektórych chórach, w uwerturze melancholię powolnego zamierania przy wtórce chrapliwych dąsów szatana, a w całości znamię geniuszu, subtelności, nadzmysłowości, cudownie dopasowane do stylu poematu.

Nasza literatura знаła już Manfreda tłumaczonego, wypadało jednak zastosować go do sceny, skrócić lub ominąć miejsca przydługie lub niemożliwe dla techniki teatralnej. Zadanie to uskutecznił p. Gabryel Kempner, któremu za szczęśliwy pomysł zrobienia z trzech aktów — czterech należy się uznanie. Udział jego wszakże sięga dalej, bo i pod przekładem figuruje jego nazwisko, czego zresztą snadno domyśli się słuchacz, znający zdawną poetyczny a charakteru pełen tekst polski Franciszka Dzierżykraj Morawskiego. Ponowny tłumacz o ile wnioskować możemy z urywków tu i owdzie drukowanych oraz na zasadzie własnej pamięci, posługuje się językiem świeższym, ściśle przestrzega miary wierszowej oryginału, zdobywa się jak w słynnym *Przekleństwie* (*Incantation* akt I) na rymy dwięczone, ale polotem i poczują Morawskiego nie przewyższa, ustępuje mu pod względem melodyjności rytmiki, czasem nawet wręcz ją gwałcając, jak np. w wierszu: Porywają go rozkosze i męki. Schwytaliśmy w lot parę zwrotów całkiem niesmacznych, które trudno nam było przypisać Byronowi i oto, co sprawdzając znaleźliśmy między innymi: Manfred, zasłyszawszy róg alpejski, nie prezentuje go bynajmniej i nie objaśnia widzom wyrazami: *To są proste dźwięki etc.*, lecz mówi *do siebie* z zachwytem i westchnieniem: *The natural music of the mountain reed*. Jeszcze bardziej płytko, a nawet zabawnie wypada rozmowa bohatera z królową gór. Na jego wyznaczenie, że *zabił Astartę*, pyta ona według p. Kempnera: *Ręką?* Nie dziwiłoby nas, gdyby jaki psotnik podszepnął: „nie, nogą.“ Oczywiście Byron takiego *lapsus* u by nie popełnił; u niego nimfa zapytuje: *with thy hand?* — własną ręką? A to chyba co innego. Gdzieindziej znów, gdy pasterz doradza Manfredowi cierpliwość, ten odpiiera: *co? co? cierpliwość, to słowo stworzone dla bydła...* Oryginał brzmi daleko naturalniej: „Cierpliwość i cierpliwość, to słowo...“ Prawda, że „co, co“ zawiera mniej sylab i łatwiej daje się wcisnąć w wiersz jedenastozgłoskowy, ale to nie racya. Nie raz też tłumacz z tego samego powodu opuszcza przymiotniki i tem odbiera swej bądź co bądź pięknej pracy cechę dokładności, która w naszych czasach powinna być sakramentem, zwłaszcza gdy chodzi o Byrona i gdy się ma za sobą Morawskiego. Odnosne miejsca szczerze radzimy zmienić. Zyska na tem i sama faktura sztuki, pełnej — już z winy samego poety — takich narzędzi do zadawania pytań, jak ów juhas, gdy zagaduje ni stąd, ni zowąd: *A chciałbyś się ze mną pomienić losem?*

Wreszcie słówko o p. Kotarbińskim. Wziął on na siebie brzemie nielada i dźwiga je pomyślnie. Ażeby nie uczynić Manfreda monotonnym — trzeba wielkiego talentu, szerokiej skali tonów i akcentów. Nasz artysta wykazał ich na podziw dużo i stworzył kreację po prostu znakomitą. Potrafił sprządz, zlać w jedno owych kilku

ludzi, siedzących w Manfredzie i podesłał go tłem możliwie realnem i prawdopodobnem. Pyszny głos roztaczał nieprzebrane skarby, zawsze rozumny, inteligentny, jak na swą ciężką organizację dziwnie szczery i uczuciowy, słowem prawdziwie po literacku rozumiejący poetę swego aktor. Jeśli próba generalna budziła w nas pewną obawę, tedy występ sobotni przekonał, że p. Kotarbiński w rolach podniosłych i wymagających siły nie prędko znajdzie równego sobie. Possartowi z Monachium wogóle nie ustępuje, a siłą dykcyi miejscami go przerasta. Jeszcze tylko trochę mniej majestatu a więcej szparkiej młodości w Manfredzie — a stanic się za dość najwybredniejszym. Reszta artystów podzieliła między siebie oryginalnie swe i często tylko krótkie role. Opatem wybornym był p. Ładnowski, wspaniałą Nemezydą p. Rakiwiczowa. P. Noiretówna powinna koniecznie mniej być banalną w tonie mowy, a p. Marczello jako Astarte pamiętać, że lepiej mówić głosem zwykłych śmiertelników, niż naśladować głos zagrobowy, wpadać w przesadę i detonować. Wyróżnienie należy się p. Bolesławskiemu, który swą rolę złego ducha Manfreda odegrał z rzetelnym artyzmem w głosie, postawie i wysoce umiejętnej charakterystyce.

Scenariusz, ogółem biorąc, uderza swem bogactwem i okazałością. Dużo wprawdzie traci poezya dramatu w swym najbardziej nastrojowym momencie „Przekleństwa“ przez to, że nie widzimy, jak wróżby duchów *padają* brzemieniem katowskich i mściwskich wyroków na głowę omdlałego Manfreda i że słyszymy je tylko w oddali, z ubocza, czy z podziemia, ale pono jest to wina organicznych braków teatru. O pewnych znów, drobnych komizmach reżysery chyba sama wie i nie mamy potrzeby wytykać ich tutaj. Zaznaczmy tylko, że owe podpórki pod skałami rażą ogromnie, że górale alpejscy, podobnie jak tatrzańscy, nie używają kijów nawet do pomocy, lecz tylko od parady lub gdy trzeba niemi wyrębać w lodzie stopnie, że deski z głuchym rezonansiem na Jungfrau możnaby łatwo pokryć czemś tłumiącym go itp. Usterki te nie zmniejszają jednak bynajmniej zasługi wystawienia *Manfreda*. Musi ją uznać każdy nie-reporter, z czego zresztą wypływa, iż wobec wielkiego rozmnożenia się u nas tego gatunku ludzi i teraz jeszcze syją się na teatr zarzuty. Ach! możnaby z tych podjazdów i szpilkowania ułożyć wyborną komedję np. p. t. *Manfred w prasie naszej*. Zdawało nam się, iż pisma codzienne polecą sprawozdanie o dziele Byrona, zagadkowem i wymagającym wykształcenia, nie tym, co zwykle przez okrągły rok pełnią funkcję Maryski, która wróciwszy z Warszawy do Psiej Wólki wraz z panią swą, opowiada:

Byłśwa i na teatrze,  
Pani patrzy i ja patrzę;  
Jakby w jakim polonezie  
Jeden na drugiego lezie  
Jeden drugiego pcha...

lub że zachowują się oni taktownie i z należytą czcią dla wielkiego geniusza, który zgóry okupuje wszelkie wady sceniczne. Niel Zbawionna zasada: *ne sutor ultra crepidam* została głosem wołającego na puszczy i oto zebrała się kupa wywodów wielce mądrych i tak stanowczych, że biedny Byron pewnie w grobie zatyka przed niemi nos. Inni znów, już z rzędu autorów — widząc, że wbrew ich krzykom Manfred doznał ogromnego powodzenia, odwrócili kota ogonem i napadają na ogół piszących, że ten nie ocenia prawdziwej poezyi, Byrona, że nie rozkupują „Don Juana“, że p. Porębowicz jest profesorem wszechniczy (!), wydawca „Biblioteki najcenniejszych utworów“ — biedakiem blizkim bankructwa, że oni sami przeczytawszy osobiście... „Don Juana“ (co za zaszczyt!) stwierdzili, iż jest



tłumaczony znakomicie (no, wobec takiego argumentu...) itd. itd., a to wszystko z powodu *Manfreda*, którego swego czasu znaleźli w kilku *nieśmiejących* przekładach polskich...

Bądź co bądź, reżysera może spać spokojnie. Choć *Manfred* jest dla dziennikarskich Szemiaków „irreal“, podobnie jak w Londynie dla prezesa rady miejskiej obradującej nad pomnikiem dla Byrona „immoral“ — dla całego świata jest on mimo to, jak wtedy odparł jeden z ławników: „Immortal“

Cezary Jelenta.

## POEZJA.

### MATEMATYKA.

Zmrok był dokoła. Spowita w mgłę szarą  
Drzemała ludzkość; a z przestrzeni morza  
Kapłanka prawdy zesłała z wagą, z miarą  
I wzrok rzuciła w śpiących ludów łoża.

I przebudzony magnetycznym wzrokiem  
Wstał tłum, a skromną postacią zdziwiony  
Bogini prawdy, szedł powolnym krokiem  
Za przewodniczką w obce sobie strony.

Droga z początku nudna, pusta była;  
Wieszczka w pieśń lśniących nie wplatała kwiatów.  
Patrzcie: to linia, to trójkąt, to bryła —  
Mówiła, wijąc wieńce z aksjomatów...

Z aksjomatów tych magiczne siły  
Z osnową piękna — sympatją złęczone,  
Z linii gotyku koronki stworzyły,  
Bryły zakłęty w portyki rzeźbione.

One z materii martwej, niemej łona  
Pierwiastki życia tajne wydobyły:  
Bo do niej ślepych sił zgraja wprzężona,  
Pracą zamienia słabe ludzkie siły.

One z chaosu wydobyły dźwięki,  
Zliczyły nikłe dla oka ich ruchy,  
By upleść rzewne i słodkie piosenki,  
Lub marsz żałobny, jak dzwonu jęk głuchy.

Z linii wysnuły nici perspektywy,  
By na nich pędzła mistrz, jak na osnowie  
Tkać mógł haft myśli to strunny, to tkliwy  
— Poezję tworzyć w farb i kształtów mowie.  
Ona wciąż wiodła ludzkość na wyżyny,  
Promień jej światła niszczył mgły i cienie,  
Jak w panoramie wciąż nowe krainy  
Odsłaniał wzroku — wnikał w nieba przestrzenie.

Zdruzgotał dawnych lazurów kryształ,  
Zerwał zawiłą nie Ptolomeusza  
I na niebiosach dla narodu chwałę  
Nakreślił imię naszego geniusza.

Bronisław Wyganowski.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### Z AUSTRYI.

Ankieta w sprawie uregulowania waluty. — Przemowy profesora Milewskiego, Pilata i dr. Zgórskiego. — Nędza w Wiedniu i środki użyte ku zwalczeniu jej. — Praca statystyczna Inama-Sternegg o przyczynach i charakterze ubóstwa.

W Wiedniu ukończono właśnie obrady ankiety, zwołanej w sprawie uregulowania waluty austriackiej. Jak to bywa w państwach pseudo-konstytucyjnych, zebrano ją wówczas, kiedy rząd już rozstrzygnął główne kwestye. Od roku wiadomo, że przyjął on zasadę monometalizmu i zamierza wprowadzić walutę złotą; w jednym tylko względzie obrady ankiety wpływać mogą na tę sprawę, mianowicie pod względem stosunku złota do srebra. Główne zarzysy reformy dziś występują jasno. Jednostką służącą za podstawę nowej walucie będzie t. zw. korona (Krone), która wynosić ma mniej więcej połowę dzisiejszego guldena, obliczoną w złocie, a zatem 42—

45 centów, moneta, której wartość będzie nieco wyższa, aniżeli franka, a nieco niższa, aniżeli marki niemieckiej. Najniższą złotą monetą będzie 10 korona nowych, czyli 5 zlr. według waluty dzisiejszej. Nadto zostanie puszczone w obieg 60,000,000 pieniędzy srebrnych niższej wartości. Co do pieniędzy papierowych, noty bankowe dzisiejsze nie zmieniają swej wartości; rząd zaś dla wygody publiczności wyda ze swej strony pieniądze papierowe, niezawodnie ponad wysokość pokrycia kruszcowego.

Mimo iż główne punkty regulacji waluty są już uchwalone przez rząd austriacki w porozumieniu z węgierskim, obrady ankiety ściągnęły na siebie ogólną uwagę, powołano bowiem niemal samych ludzi fachowych, posiadających wielkie doświadczenie. Niezwykle uznanie zdobył sobie profesor Milewski z Krakowa. Chociaż bronił bimetalizmu, podczas gdy większość, a zwłaszcza eksperci wiedenscy zajmują stanowisko monometalizmu, wytrawność jego została ocenioną należycie. Referaty dwóch innych galicyjskich członków, profesora Tadeusza Pilata i dr. Alfreda Zgórskiego, dyrektora Banku krajowego, należały również do wybitniejszych. Delegaci galicyjscy zajmowali poniekąd wspólne stanowiska: wszyscy niechętni byli monometalizmowi, wszyscy uwzględniali głównie interesy rolne.

Wiedonczycy, którzy tak chętnie mówią o „swem złotem sercu“, mieli ostatnimi czasy dobrą sposobność do wypróbowania go. Wskutek klęsk ekonomicznych ostatniego roku, znalazło się w Wiedniu kilkadziesiąt tysięcy osób, niemających utrzymania i zatrudnienia. Jak zwykle, tak i tym razem wystąpiła całkowita niezaradność sfer rządzących, zarówno w państwie, jak w gminie. Wiedeń rozpoczął ma niebawem wielkie roboty ziemne i budowlane, których koszty już są uchwalone. Zamiast przyspieszyć rozpoczęcie tych robót, burmistrz wiedeński zamknął bramę, kiedy proszący chcieli mu się przedstawić i zapelować do dobroczynności publicznej. Odezwa ta okazała się nader skuteczną: nadpłynęły datki bardzo znaczne, zebrano przeszło 100,000 zlr.; lecz zamiast tak znaczny kapitał użyć w sposób rozumny, zabezpieczający ludziom pracę lub trwałą pomoc, poprzestano na zakupowaniu i rozdawaniu olbrzymich zasobów chleba i kiełbasek. Filantropia ta miała skutki najohydniejsze. Codziennie na miejscach, gdzie rozdawano chleb, cisnęły się tysiące kobiet i dzieci w sposób zagrażający życiu. Naturalnie że wśród tłumu tego najmniej było pocziwych robotników, a najwięcej szumowiny społecznej. Przekonano się też niebawem, że chleb rozdany pojawia się nietknięty w szynkach, które w zamian za to odwdzięczały się wódką. Gorsząco sceny zaczęły się mnożyć, tak że w końcu namiestnik hr. Kielmansegg zabronić musiał tej bezrozumnej filantropii. Kiedy równocześnie spadły śniegi, a magistrat szukał ludzi do odgarniania ich, płacąc 1 zlr. dziennie, nie mógł znaleźć robotników w dostatecznej ilości: ludzie ci woleli jeść chleb z kiełbaskami, aniżeli pracować. To też miał słusność hr. Rudolf Hoyos, dołączając do swego datku następujący wiersz:

An der Wurzel must du fassen  
Eurer Bruder Lebensnoth,  
Denn man sättigt nicht die Massen  
Mit nur karg bemess'nem Brot.

Statt die Armen zu beschenken,  
Hebt den Grund der Armuth auf,  
Statt zu hindern, zu beschränken,  
Lasst der Arbeit freien Lauf \*).

\*) U korzeni powłnłście uchwycić nędzę braci waszych; nie nasycicie mas chlebem skapo odmierzonym.

Zamiast obdarzać ubogich jałmużną, znieście przyczyny ubóstwa; zamiast ograniczać pracę, krzewcie ją.

\*\*) Wiedeń 1892.

Nie potrzebaby myśli tej ubierać w szatę poezji, aby zrozumiano, że wyraża ona coś, co nie może się spodziewać rychłego u rzeczywistnienia. Na razie ludzie praktycy wzięli się do reformy dobroczynności publicznej, której stan był fatalny. Pojęto już przed 12 laty w Wiedniu, że dobroczynność publiczna wówczas tylko może mieć zdrowy skutek ekonomiczny, gdy opiera się na rozumnej organizacji. W tej myśli założono wówczas towarzystwo dobroczynne „Verein gegen Verarmung Bettelei“ na którego czele stanął dyrektor centralnej komisji statystycznej Inama-Sternegg. Nie udzielało ono zapomogi, zanim nie zbadało warunków życia i powodów ubóstwa. W ten sposób nagromadzono w ciągu lat 12-tu nader obfity i pouczający materiał, który objaśnia prawdziwe cechy i przyczyny nędzy w Wiedniu. Materiał ten opracował dyrektor Inama-Sternegg w rozprawce ogłoszonej świeżo p. t. „Die persönlichen Verhältnisse der wiener Armen“ \*\*). Praca ta użyta będzie jako podstawa dla reorganizacji dobroczynności publicznej, do której właśnie przystąpiono. Zdaje się, że przyjęty będzie słynny „system elberfeldzki“, polegający na decentralizacji kontroli nad wspieranymi.

S-z.

## OSADNICTWO POLSKIE

w Ameryce Południowej.

III \*).

Najpierwszem miejscem pobytu wychodźców polskich po wylądowaniu na brzeg brazylijski były baraki na „Illa dos Flores.“ Skutkiem wszakże tego, że tam podlegali oni zbyt wielkiej śmiertelności w listopadzie i grudniu, najniezdrowszych i najgorętszych miesiącach w Brazylii, zaczęto ich wprost ze statku przeprowadzać do przytułku wychodźczego w Pinheiro, dawnej rezydencji Dom Pedra II, w górach o 2 godziny drogi koleją żelazną od Rio Janeiro. O przytułku tym wyraża się p. Siemiradzki bardzo pochlebnie. „Urządzony wzorowo — powiada — składa się z kilku budynków, w których się mieszczą sypialnie wspólne, oddzielnego domu przeznaczzonego na kuchnię, osobnej sali jadalnej i wielkich sal, w których w dni ślotne emigranci używają ruchu mogą. Opodal mieści się szpital, w którym lekko chorych trzymają — cięższe wypadki odsyłają na koszt rządowy do szpitala „misericordia“ w Rio Janeiro; sypiają, jak wszyscy brazylijczycy na matach, rozosłanych wprost na ziemi. Czystości przestrzega się bardzo surowo, tak daleko, że nawet naczynia mają szpitalni posługacze pod nadzorem urzędników. Żywność otrzymują podobnie jak na okręcie — zdrową i pożywną: z rana kawę z bułką, w południe i wieczór świeże mięso, ryż, czarną fasolę i chleb pszenny.“ Pomimo to jednakże nie waha się p. S. zaznaczyć, że śmiertelność, zwłaszcza wśród dzieci, jest tam — znaczna. Po trzech do ośmiu miesięcy pobytu w Pinheiro, wysyłano wychodźców partjami po kilkaset osób do stołecznego miasta stanu, obranego przez nich (np. do Curitiba, Desterro lub Porto Allegro), gdzie ich znowu trzymano przez pewien czas w przytułkach. Te ostatnie daleko są gorsze od pierwszego pod względem zdrowotności: odznaczają się brudem i szczupłością pomieszczenia nieodpowiadającego napływowi emigrantów. Usiłowano temu zapobiedz, ale bezowocnie. Śród natłoczonej, jak śledzie w beczce, ludności grasowały: tyfus, ospa, błonica, dysenterya. „Z jednego tylko z trzech przytułków w Curitiba, posiadającego miejsca na 250, a mieszczącego blisko 1000 osób, codziennie kilka pogrze-

Patrz n-ra *Prawdy*: 8 i 9.



bów odchodzi, a w przeciągu kilku miesięcy blisko 30% wychodźców wymarło. Za to w dwóch pozostałych stan rzeczy jest znacznie lepszy — szpital powiększono. To samo działo się w Porto Allegre. Brudny i ciasny przytułek nie mógł pomieścić napływającej cizby wychodźczej.

Wychodźcy przebywający w przytułkach, do chwili wysłania ich na kolonie, nie raz przez pół roku żywieni są przez rząd, nie będąc używani do żadnej pracy. W Santos, Sao Paulo, Paranagua i Curitiba otrzymują żywność gotową, gdzie indziej kwity na pewną sumę, odpowiednio do liczby głów w rodzinie kwity te, kontrolowane przez rząd, dostają się do rąk kupców. Dla dostawców, urzędników i wszelkich pośredników system ten jest bardzo zyskowny, ale dla wychodźców dojrzał w nim p. S. dwie ciężkie wady: skutkiem natłoku w ciasnym pomieszczeniu był powodem przerażającej śmiertelności wśród wychodźców, z drugiej zaś strony oddziaływał demoralizująco na nich. Przyzwyczajając do życia bez trudu, na koszt państwa, sprawił to, że osadnicy na koloniach odmawiali pracy lub nie chcieli opuszczać baraków. Psychologicznie biorąc ten fakt, trzeba w nim widzieć obronę ideałów i marzeń, rozbudzonych u wychodźców przez agentów. Jadąc za morze z nadziejami, nie mogli tak łatwo z nimi się rozstać. To też przychodziło między nimi a władzami do ostrych, z użyciem wojska i broni — starć. P. Siemiradzki zaś skłonny jest widzieć w nich objaw niezadowolenia z przydymionej pieczęci. Niewątpliwie on sam i „wiarogodny kapłan polski,” który mu te duby smalone płótki, niesmakiem pieczęci przydymionej byłiby najbardziej poruszeni, o czym zapewne mogłyby dużo powiedzieć ich kucharki...

Z chwilą opuszczenia miejskich przytułków wychodźczych, powiada p. S., kończy się dla emigrantów najcięższy i demoralizujący okres wyczekiwania niepewnego jutra, zaczyna się zaś era „mniej lub więcej” ciężkiej pracy pioniera w lesie: wychodźca przechodzi z rąk urzędników, od „emigracji” do władz osadniczych, znajdujących się pod wspólnym zarządem delegata „dos terras e colonisação.” „W okresie *emigracyjnym*, powiadamia nas p. S., wychodźcy czekali przez czas nieokreślony z założonemi rękami, natłoczeni w barakach, dziesiątkowani przez choroby, zdemoralizowani przez życie próżniacze z dnia na dzień; w okresie *kolonizacyjnym* zaczynają pracować na siebie, jakkolwiek aż do pierwszego żniwa są prowadzeni na pasku przez urzędników.”

Jakże oni ich prowadzą na tym pasku? Sposób, praktykowany w Paraniu i z nieznanymi zmianami w innych koloniach rządowych, p. S. uznaje za bardzo rozsądny. Polega on na tom, że urzędnicy kolonizacyjni usiłują naprzód różnymi środkami zmusić wychodźcę do podjęcia ciężkiej i „zniechęcającej” nieraz pracy na wydzielonym kawałku ziemi. Z początku idzie z tem trudno. „Brak wygód wszelkich, zamieszkania, żywności, którą mu przedtem dawano ofiśnie, niejednego zniechęca i tylko zapomoga rządowa, wypłacana za dnie robocze, utrzymuje go na miejscu. Gdy wszakże po kilkumiesięcznej pracy własna runa na mozolnie wyrobionem polu mu się zazieleni, żal mu już własną pracę opuszczać, i w tej chwili odjęcie mu pomocy rządowej już go z kolonii nie wypędzi: o głodzie i chłódzie nieraz pracuje dalej, a wdzięczna gleba sowitym plonem pracę jego wynagrodzi.” Słowem, umiejętność jest tutaj zażyta natura chłopca naszego, zręcznie poruszone sprężyny jego duszy. Idzie o przesadzenie go z jednego zagonu na inny, szczęściem — wydajniejszy od ojezystego.

Drugą myślą przewodnią systemu kolonizacyjnego jest zapewnienie rynków dla plonów trudu osadnika. W tym celu kolonie grupuje się około pewnych ośrodków miejskich. Jednocześnie z osadami rolniczymi zakłada się tuż obok, wśród lasów — mia-

sta. Na siedliska dla nich wybierane są miejscowości, posiadające wygodną komunikację wodną, czy lądową, której ulepszenie z czasem bywa powierzane samemu osadnikom. Wzorem takiej kolonizacji jest grupa osad polskich, założonych niedawno nad rzeką Iguaçu i zostających pod zarządkiem p. Zaporoskiego, gdzie przeto, według zapewnienia p. S., nadużycia administracji są sprowadzone „do możliwego minimum” i ograniczają się do sum skradzionych w Rio Janeiro i drobnych niepochwytnych malwersacji. Osady te liczą ogółem około 6,000 ludzi, prawie wyłącznie Polaków (i Rusinów) i tworzą jednolity szereg wzdłuż rzeki ciągnący się w dół do miasteczka Palmeiras, który ma być połączony drogą kołową. Prócz tego wyznaczono dwie miejscowości na osady miejskie, Rio dos Patos (Palmyra) i S. Matheo (colonia Maria Augusta) leżą nad brzegiem spławnej rzeki Iguaçu, mającej od początku żeglugi (Porto Larenjeiras) komunikację kolejową, od Porto Amazonas zaś — kołową z Curitiba. Kolej zamierzona z Asuncion (Paragwaj) przetnie wszystkie kolonie polskie nad Iguaçu. Najbardziej odsunięty z tego zbiorowiska osadniczego punkt, S. Matheo, jest odległy od Curitiba około 150 kilometrów, o przestrzeń dającą się przebyć w ciągu dni czterech. Z chwilą zaś, gdy zostanie otwarta kolej z Curitiba do Porto Larenjeiras, a żegluga na rzece odbywać się zacznie z szybkością normalną, podróż trwać będzie najwyżej półtora dnia.

Rio dos Patos i S. Matheo stanowią punkty środkowe, z których promienisto rozchodzą się (na prawym brzegu rzeki) szerokie gościńce, przecinające środek działek pojedynczych osadników.

Przewóz emigrantów z Curitiba do Porto Amazonas odbywa się partiami na wozach, a stamtąd parowcem na miejsce przeznaczenia; na kolonie zaś bliższe do Palmeiras dowożą na miejsce furmanką. W drodze otrzymują ryż, fasolę, słońcę do okraszania i mięso suszone; potrawy gotują sami. Wyżywienie dzienne dla 96 emigrantów kosztuje tylko 120 milreisów. Po przybyciu na miejsce, zanim wydzielono im zostaną siedziby, mają oni do wyboru albo się mieścić w baraku ogólnym, albo wystawić sobie szałas tymczasowy z trzciny i liści w pobliżu baraku. Większość wybiera ostatnie, folgując w ten sposób swoim instyngtom indywidualistycznym. Od przybycia na kolonię aż do pierwszego żniwa na własnym zagonie, każdy dorosły mężczyzna obowiązany jest do 15 dni roboczych dla rządu na miesiąc: do wycinania i karczowania dróg, budowy mostów, stawiania budynków dla administracji, baraków, kościoła itp. Dorosli i bezdzietni otrzymują za to zapłatę w gotówce lub kwity, opiewające na 1,500 reisów; mający zaś dzieci niżej 12 lat, dostają 1,400 reisów i dodatek dzienny po 200 reisów na każde dziecko, do liczby trzech. Wyrostki od lat 12—14, pracujący przy drogach, zarabiają 700 reisów dziennie. Rodziny, posiadające synów pracujących, nie mają prawa do zapomogi na dzieci młodsze. Za inne dni robocze, kiedy osadnik pracuje na własnej działce, pobiera dziennie po 60 reisów i zapomogę na dzieci taką, jak wyżej. Zarząd kolonizacyjny obowiązany jest postawić na każdej 20-hektarowej działce domek tymczasowy z desek, kryty tarcicami lub gontami, o jednej izbie, długości 6 metrów, szerokości 4, wysokości 2,66, z przybudówką w tyle na kuchnię. Domek taki ma dwie drzwi i jedno okno, zasłonięte okienicą. Osadnik, który sobie sam zbuduje chałupę przepisanej normy, otrzymuje 100 milreisów w gotówce lub narzędziach potrzebnych. Narzędzia potrzebne do karczunku i uprawy leśnej poręby, np. siekiere, gracie, szpadel, a nadto statki domowe i ziarno do siewu otrzymuje od administracji na książkę do ogólnej wysokości 50 milreisów. Wypłaty miesięczne w znacznej części, a naj-

częściej całą ich sumę poohlaniają dostawcy żywności. Mając zapewnione przez rząd pierwszeństwo przy wypłatach miesięcznej robocizny, wyzyskują oni swój przywilej skrzętnie: stawiają bardzo wysokie ceny za produkty dostarczane lub wprost dopisują dowolne sumy do miesięcznych rachunków kolonisty. Ciomny, niepiśmienny osadnik dziwi się potem, czemu przy wypłacie nigdy mu nie się nie należy.

Wartość ziemi, oszacowanej podług minimalnej taksy rządowej, kolonista winien spłacić w przeciągu lat 3, w Paraniu bez procentu, z potrąceniem na jego korzyść 30%, jeżeli dług w terminie uiszczony będzie. W przeciwnym razie suma nieuiszczona obciąża hypotekę kolonii z opłatą 6% rocznie. W koloniach leśnych nad Iguaçu wartość osady 20-hektarowej oblicza się urzędowo na 100 milreisów. W razie niewypłacenia tej sumy kolonista musi płacić 6 milreisów rocznego czynszu rządowi. W Rio Grande do Sul, gdzie działki są większe (po 40 hekt.), wartość ich wynosi 300 milreisów, płatnych w przeciągu lat 5, z 6% obciążeniem. Ceny sprzedażne ziemi prywatnej są daleko wyższe.

Osadom nowym nad Iguaçu p. S. wróży tak pomyślną przyszłość, jak koloniom w okolicach Curitiba.

Z. A. P.

## LIBERUM VETO.

Stara historia t. z. nadmiaru Intelligency. — P. Chorąży usiłujący ograniczyć ją w *Wiek*. — Zabłakane echo przebrzmiałej sprawy. — „Honor dziennikarski.” — Rozwód czy nieostrożność. — Koncert na dochód Junoszy. — Bolesne miłosierdzie i czule serca. Wyrzut — I wstyd.

Pewnego dnia p. Chorąży postanowił wskrzesić zamierający i zmartwychwstający od lat wielu w prasie warszawskiej spór o tak zwaną u nas ślicznie „hyperprodukcję inteligencji,” czyli, mówiąc po prostu, o nadmiar ludzi z wyższemu kształceniem. I wytoczył tę nieśmiertelną sprawę przez sąd czytelników *Wiek*. „Jeżeli tylko — pisze on — ogólny stopień kultury w kraju jest niski (a taki jest nasz), jeżeli większość ludności pogrążona jest w grubej ciemności, ogół pod względem ekonomicznym i społecznym mało rozwinięty, to i potrzębnym w zakresie wyższego kształcenia są ograniczone. Jeżeli dalej nabyta wiedza nie ma realnej wartości, jeżeli ludzie, którzy posiadli w tym lub owym kierunku wyższe wykształcenie, nie mogą stąd żadnego praktycznego osiągnąć pożytku, z powodu braku zapotrzebowania ich pracy, to jest znakiem oczywistym, że suma sił inteligentnych w kraju przewyższa potrzebę.” Tak ma być u nas, a szan. autor, szczerze zasmucony tym stanem nadmiaru inteligencji, zamierzył przywrócić „zachwianą równowagę.” Naturalnie, ażeby tego dokonać, musiał on, zgodnie ze swem założeniem, obrachować „przynajmniej w cyfrach przybliżonych, ile sił inteligentnych w każdym poszczególnym zawodzie społeczeństwo to (nasze) zużytkować może, a ile sił takich w swem łonie posiada.” I cóż mu wypadło? Po długich korowodach frazesowych, po deklamacjach na temat równomiernego rozkładu światła wiedzy, p. Chorąży wyznaje ze szczerością udaremniającą cały jego rozmach, że „są zawody, co do których nie sposób określić *nawet w cyfrach przybliżonych*, ilu ludzi z wyższemu kształceniem społeczeństwo spożytkować może.” Tych zawodów okazuje się niestety tak wiele, że autor próbuje i to bardzo wątpliwym rachunkiem oznaczyć „potrzeby” tylko w dziedzinie medycyny i prawa. Rezultat bardzo naturalny. W krajach, posiadających daleko lepszą statystykę, niż nasza, o której zaledwie mówić warto, fabrykanci daremnie usiłują obliczyć zapotrzebowanie na jakis



produkt w jednej gałęzi przemysłu i ciągle wytwarzają nadmiar towarów, spowodzający przesilenie ekonomiczne. Cóż to dopiero mówić nawet o „przybliżonych cyfrach“ ilości potrzebnych społeczeństwu: inżynierów, budowniczych, geologów, botaników, filologów itd. Dałoby się to chyba oznaczyć w innym zupełnie ustroju społecznym, którego p. Chorąży z pewnością ani nie pragnie, ani nie lubi, ale nigdy w obecnym, kapitalistycznym, opartym na ruchomej podstawie rozkiełzanego współzawodnictwa. Jeżeli zaś autor nie zna dokładnie rozmiaru naszych potrzeb, jeżeli nie umie powiedzieć „nawet w cyfrach przybliżonych,“ ilu „możemy spożytkować“ ludzi z wyższym ukształceniem, to skąd wie, że tych ludzi mamy za dużo i dlaczego chciałby powstrzymać „nadprodukcję inteligencji?“ Przecież zalecając zagradzanie dróg młodzieży do uniwersytetów i wyższych zakładów, powinienby posiadać niezbity dowód, że oni przynoszą szkodę społeczeństwu i że „suma sił inteligentnych w kraju przewyższa potrzebę.“ Jeżeli tedy jakiś młodzieniec, unikający „zachwiania równowagi,“ poprosi go o radę: pragnąłbym zostać inżynierem, ale nie wiem, czy jest miejsce zbywające w tym zawodzie i przychodzę o to zapytać pana, znającego zapotrzebowanie społeczeństwa — cóż mu p. Chorąży odpowie?

Alle przypuścimy, że nawet nie mając pewnych danych odwiedzie go jednak od tej myśli i że wogóle bez ścisłej znajomości położenia, samym domysłem i obserwacją można rozciąć takie węzły zarówno w życiu jednostkowym, jak zbiorowym; zastanówmy się, czy te węzły w naszych stosunkach istnieją, czy my mamy nadprodukcję inteligencji? Kiedy ta sprawa po raz pierwszy była podniesiona w prasie naszej, do gimnazjum mógł wstępować każdy chłopiec, który zdał egzamin, a do wyższych zakładów naukowych każdy, który posiadał świadectwo dojrzałości — wtedy z jakim takim sensem i pozorami słuszności można było mówić o „proletaryacie umysłowym“ i „nadprodukcji inteligencji.“ Ale dziś, kiedy przyjęcie do gimnazjum odbywa się zapomocą egzaminów konkursowych i często na kilkuset kandydatów zdobywa wstęp zaledwie czterdziestu, kiedy w Instytucie technologicznym, komunikacji, górnictwa itd. określony został procent studentów, gdzie tu może być mowa o nadmiarze ludzi z wyższym ukształceniem? P. Chorążemu wprost przyszła się rzeczywistość dawno minioną, przypomniały mu się ceha sporu dawno przebrzmiałego, któremu dziś życie nie dostarcza żadnego wątku. Artykuł jego wygląda tak, jak gdyby był napisany przed 20 laty, przeleżał w szufladzie redakcyjnej i teraz dopiero został wydrukowany. Trudno byłoby istotnie o chwilę słabiej z nim związaną, jak obecna. „Nadmiar inteligencji“ nie przedstawia u nas żadnej kwestyi, tak samo, jak nadmiar uprawy winogron lub cykoryi i co najwyżej nadaje się do wypracowań, zatykających dziury w szpaltach pism peryodycznych.

Rzecz dziwna, że p. Chorąży, który dojrzał u nas nadmiar wyższej inteligencji, jednocześnie spostrzega jej brak tam, gdzie niezucyte i zbywające jej siły skupiać by się powinny — w prasie, w której go rażą na arenie wychowania szkół elementarnych. Pod tytułem „Honor w dziennikarstwie“ wypowiada on szereg uwag bardzo trafnych i... zdumiewających. Posłuchajmy go: „Dziennikarza, sumiennie i uczciwie pełniącego swoje obowiązki, nie mogą żadną miarą dotknąć ogólnikowe zarzuty i insynuacje, zwrócone przeciwko jego osobie w złej wierze... Zdarzają się one u nas w sferach dziennikarskich bardzo często, a im kto ma bardziej niezależne zdanie, im śmielej i otwarciej wypowiada swoje poglądy i im silniejszymi popiera je argumentami, tem częściej bywa przedmiotem nie-

sumiennych napaści... Gdy przechodzący obok mnie ulicznik obrzuci mnie błotem lub obelżywym słowem powita... honoru mego bronić nie będę, bo honor ten wcale dotknięty nie został.“ Najzupełniejsza racya. Ale czy przeciwko niej nie zaprotęstuje ów krzykliwy przyjaciel a cichy sprzymierzeniec *Wieku*, organ, który specjalnie trudni się insynuacjami i szkalowaniami osobistemi? Może ta arcynieodbrana para rozwiodła się lub rozseparowała a przyzwoity, dobrze wychowany i ukształcony małżonek otworzył nagle usta, ścisłym związkiem dotąd zamknięte i nie bacząc już na swą połowicę wyraża wstręt do jej złego języka? Jeżeli zaś owo stadło morgantyczne trwa dalej, to przemowa p. Chorążego z wysoka wielce nas zdumiewa. *Wiek* jest gazetą poważną, szanującą honor swój i cudzy, redagowaną przez ludzi z wyższym ukształceniem, ale ze względu na swój jeden stosunek w prasie powinien być bardzo wyrozumiały dla umysłowej i moralnej strony piszących. Bo gdyby na jego filipico zaczęto kłaść adresy, przedewszystkiem położonoby tytuł pisma, które *Wiekowi* sprawia największe zadowolenie. Najwłaściwsza więc dla niego byłaby odraza milcząca.

Jeden ze współpracowników tej gazety, Klemens Junosza, autor wielu powieści, dotknięty ciężką chorobą i niedostatkami, musiał wystąpić imiennie na afiszu, zwołującym publiczność do sal Redutowych na koncert z dochodem, przeznaczonym dla ubogiego literata. Grano, śpiewano, deklamowano, ale wszystkie te dźwięki zagłuszała w niejednym sercu smutna pieśń niedoli ludzkiej, niedoli człowieka, który wypracowawszy się i wysłużywszy swojemu społeczeństwu sercem, mózgiem, najlepszymi myślami i uczuciami, musi do niego wyciągać rękę po jałmużnę. Nawet wtedy, kiedy Junoszy wróci zdrowie, ten wesoły śmiech, który tak często przewijał się koło jego ust, zamarznie chyba na zawsze w lodzie tego wspomnienia. W zakłęciach ludzkich jest wiele możliwości strasznych, ale nie najsłabszym byłoby zapewne wśród nich życzenie: bodajbyście nigdy nie byli literatami ratowanymi przez miłosierdzie publicznej! Zazdrościć można temu, kto z takich darów korzysta bez wstydu i boleści. Co do mnie wyznaję, że nieszczęśliwy Junosza przez kilka dni, dopóki był wywieszony w szafkach ulicznych, chodził za mną jak widmo niewinnie postawionego pod pręgierzem. Chciałem z afisza zetrzeć jego nazwisko, nie widzieć go, wmówić w siebie i w innych, że ów koncert urządzony został na korzyść występujących w nim artystów, że w nim chodzi głównie o to, ażeby pp. Barcewicz i Michałowski sprawili przyjemność słuchaczom. Moi kochani przyjaciele, jeżeli kiedy wpadnę w chorobę i nędzę, zakopcie mnie raczej żywcem, a nie skazujcie na torturę koncertu dobroczynnego, nie wynoście z łóżkiem na ulicę i estradę, nie każcie publicznie jęzczyć, skarżyć się głodnymi ustami, wyciągać ręki do czcigodnych przechodniów i wielbicieli, którzy dając rubla, mówią życzliwie i wspinałomyślnie: kiedyż do stu tysięcy dyabłów skończy się to filantropijne pompowanie naszych kieszeni! O, bo serce czułych jest wiele, trzeba je tylko oblać dobrze winem po sutej kolacyi, a zaraz serdeczność wycieknie z oczu obfitemi łzami. Może te serdeczne łzy wycisnąć dla siebie literat zdrów i bogaty, ale nigdy chory i ubogi. Jemu nawet nie wolno roześmiać się gorzko do świata i opuścić go — jeżeli ma dzieci. Te bowiem nielitościwe istoty nie zmiłują się nad bolem ojca, jego upokorzeniem, nad tą rozpaczliwą walką, jaką musi z sobą stoczyć, zanim otworzy usta z żebraczą prośbą, one zażądają od niego chleba, skądkolwiek i jakkolwiek wziętego chleba. Nie ma co dać im jeść, niech pożyczą, sprzeda się, niech odda się w opiekę publicznej kweście... Biedny Junosza... Żeby zaś nie

był jeszcze biedniejszy, niż jest, winniśmy wraz z kilkuset rublami uzbieranymi na koncercie dać mu zapewnienie, że w tym darze tkwi tak wielki wyrzut sumienia społecznego, które wytwarza podobną niedolę, jak ta boleść, z którą on go przyjmuje.

*Posel Prawdy.*

## SPRAWY EKONOMICZNE.

### PRZEMYSŁ HANDEL I FINANSE.

**Kanał Narwiańsko-Wiślański.** P. Stanisław Starzyński wystąpił niedawno z projektem uproszczenia komunikacji wodnej w Królestwie, który władza przyjęła przychylnie. Narew a z nim i Bug wpadają o 35 wiorst poniżej Warszawy. Skutkiem tego ważne produkty spławiano przez Narew, Bug i kanał Augustowski z dalekich okolic Cesarstwa, z lasów białowieskich i gub. suwalskiej, nie mogąc być dostarczane do Warszawy z biegiem rzek. Przedmioty niezbędne chociaż tu dochodzą, ale są bardzo drogie, ze względu na uciążliwą i kosztowną dostawę z dołu Wisły. Naprz. przewiezienie sążnia drzewa opałowego od mostu zegrzyńskiego do Warszawy kosztuje 8 rubli; przy komunikacji bezpośredniej transport kosztowałoby zaledwie 30—50 k. Taki sam mniej więcej stosunek zachodzi w dostawie drzewa budulcowego, kamienia itd. Połączenie zatem Wisły z Narwią kanałem ożywiłoby i podniosło handel w wielu gałęziach. Królestwo otrzymałoby względnie tanie produkty, których u siebie nie posiada, z gub. środkowych i południowych. Projekt takiego kanału był już dwukrotnie poruszany: raz w r. 1832 przez Bank polski, następnie przez właściciela majątku Rusinowo, Kurtza, który zobowiązywał się wykonać roboty własnym nakładem, z warunkiem nadania mu prawa poboru od statków przez lat 40-ci.

**Ruch w przemyśle i handlu.** W ostatnich czasach zaznacza się pewne ożywienie w rozroście przemysłu fabrycznego. Świeżo puszczono w ruch nową fabrykę pluszu wełnianego i jedwabnego w Łodzi. Ilu robotników zatrudni — dotąd jeszcze nie wiadomo, gdyż obecnie zakład przygotowywa dopiero wzory i próbki pluszów, które wyrabiać zamierza. Przy fabryce Heinzla i Kunitzera w Widzewie wybudowano nową tkalnię, która za kilka tygodni rozpocznie działalność. Około 600 robotników znajdzie w niej zatrudnienie, a na stanowiska majstrów powołani będą praktykanci w tej fabryce uzdolnieni. Nową tkalnię zaopatrzone w maszyny angielskie. Za półtora miesiąca rozpocznie czynność nowa przedziałnia wełny Pragera i Wolfa w Łodzi. Nadto w Pabianicach ma powstać wkrótce wielka fabryka farb. Jednocześnie daje się spostrzegać obecnie większe ożywienie w transportach kolejowych. W ekspedycyi towarowej drogi Wiedeńskiej ilość towaru dowożonego do Warszawy z miast fabrycznych w Królestwie znacznie się zwiększyła. Sama Łódź dostarcza dziennie 10—12 wagonów z drobnymi ładunkami towarów łokciowych, nie licząc transportów nadechodzących pełnymi wagonami. Z innych stron Królestwa dochodzą wieści niepomyślne o handlu i przemyśle. Korespondent *Tygodnia* piotrkowskiego notuje zastój w Częstochowie. Podobno niektóre fabryki tamtejsze zmniejszyły swą wytwórczość bądź przez ograniczenie liczby godzin roboczych, bądź przez zupełne powstrzymanie fabrykacji w pewnych gałęziach. Magazyny fabryk przepełnione są gotowym towarem, nieznajdującym nabywców, pomimo niskich obecnie cen. O ogromnym zastojach handlowym donoszą z południowych okolic gub. lubelskiej. Nikt nie myśli o żadnych umowach i interesach na większą skalę. Tylko las daje jeszcze obszerne pole do spekulacji, zniszczenia i znacznych obrotów kupieckich. Za sumę przeszło



200,000 rs. przedsiębiorcy zakupili lasy w Tarnawatce, Kryniczce, Miączynie, Tarnogórze, Żdżannem. Do tej sumy nie wlicza się wyrąb lasów w dobrach Rejowiec. Przez stację Sosnowice kolei Wiedeńskiej i Dąbrowskiej codziennie przewożą po kilkadziesiąt wagonów drzewa: belek, desek, podkładów itd. Wszystkie ten towar pochodzi z rabunkowych gospodarstw leśnych z gub. kieleckiej i piotrkowskiej i wyprawiany jest do tartaków na granicy szląskiej.

— Dla właścicieli gorzelni w Królestwie Polskim, zaopatrujących dotychczas głównie rynek hamburski, a pośrednio Hiszpanię, nie będzie obojętną wiadomością, iż rząd hiszpański zabronił stanowczo używania spirytusu t. zw. przemysłowego (tj. pędzonego z kartofli) do wyrobu win.

Z r y n k u.

**Pod naciskiem zastoju.** „Ciężkie czasy“ wydobywają ze znękanych piersi naszych przemysłowców coraz cięższe westchnienia w kierunku Wschodu. Obecnie najczęściej zwracają oni oczy na kraj Zakaukaski i Persyę. Jeżeli za westchnieniem zaczęną posyłać na tameczny rynek także i towary swoje, znajdą udogodnienia przewozowe. Od 13 stycznia r. b. zaprowadzono bezpośrednią komunikację pomiędzy kolejami Królestwa Polskiego, stacyami kolei zakaukaskiej i portami morza Czarnego (Tuapse, Loczy, Suchum, Poti i Batum) oraz Kaspijskiego (Derbent, Lenkoran, Astara, Enzeli, Astrabad itd.). Do tego łańcucha, prócz naszych kolei, należą jeszcze: kolej południowo-zachodnia i Towarzystwa żeglugi na morzach Czarnym i Kaspijskim. Prócz materij gryzących, wybuchowych zapalnych, których przewóz w tej komunikacji jest wyłączony, reszta towarów podzielona na dziewięć klas pod względem stopy opłat przewozowych. Dla Warszawy — Enzeli np. wynosi ona 1,15 (towary I-ej klasy) i kop. 46,13 (towary klasy IX). Do klasy I-ej wchodzi następujące wytwory: pasmantery, wszelkie kosmetyki, przyrządy fizyczne, astronomiczne, chirurgiczne, wszelkie zabawki, koronki, perkale, sukno, obuwie, ubranie gotowe i bielizna. Terminy zaś dostawy wodą zależne są od pory roku: np. od 13 czerwca do 13 października na przewóz towarów z Baku do Astrabadu termin jest 10-dniowy, zimą, od 13 października do 13 czerwca — 19-dniowy.

**Chmiel ruski.** Produkcja jego rozwinęła się tak dalece, że on zaczyna już stopniowo usuwać swoich współzawodników zagranicznych nie tylko z rynku wewnętrznego, ale jak zapewnia gazeta *Birżewyja wiadomości*, rywalizuje z nimi nawet na rynkach zewnętrznych. Świadczą o tem następujące fakty. Wśród austriackich chmielarzy zaczyna już objawiać się ożywiona agitacja przeciwko chmielowi ruskiemu. Plantatorowie czescy podali niedawno petycję do miejscowego komitetu rolniczego, w której żądają ratunku od państwa. Oto jak brzmi ta skarga: „Od czasu, gdy w r. z. dowieziono z Rosji znaczną ilość chmielu do Niemiec, a może pośrednio i do Austrii, skutkiem czego ceny na chmiel w Niemczech (Norymberga) i w Czechach (Saaz) spadły, dla prowincyj Austrii, zajmujących się uprawą chmielu, a mianowicie dla Czech, Morawii, Styrii i Austrii górnej jest rzeczą bardzo ważną — opieka celną. Nie należy zapominać, że plantatorowie ruscy już od wielu lat nabywali chmiel w Czechach do sadzenia i że uprawa tej rośliny rozwinęła się w Rosji bardzo wysoko. Dzięki sprzyjającym warunkom gleby, uprawa chmielu powiększa się tam będzie, a dowóz chmielu ruskiego do Niemiec i Austrii wrośnie jeszcze bardziej. W celu zatem przyjscia z pomocą plantatorom chmielu austriackim, rząd winien bezwarunkowo podnieść cło wwozowe od chmielu ruskiego, a przynajmniej zrównać je z cłem wwozowym od tego chmielu do Austrii.“

Do ruchu ratunkowego chmielarzy austriackich przyłączają się plantatorowie niemieccy. W Bawarii np. liczna grupa miejscowych plantatorów, w razie dojścia do skutku traktatu handlowego pomiędzy Rosją a Niemcami, postanowiła kołatać do rządu o taką samą i z tych samych pobudek opiekę. A deputowany Tratsch obiecał swoje poparcie w radzie związkowej!

**Rozmiary krachu petersburskiego.** Według przedstawionego przez wierzycieli domu Günzburga na zebraniu z d. 21 marca bilansu, stan tej firmy jest następujący: Aktywa wynoszące 13,930,000 rs. składają: kasa rs. 236,000, portfel 150,000, walory 618,000, majątek miejski 772,000, zadatki 285,000, dłużnicy 6,306,000. Pasywa zaś wynoszą 14,134,000 rs. Tu wchodzi sumy: wierzycieli 7,236,000, weksło akceptowane 435,000, wątpliwe 1,183,000, walory zastawione 4,081,080, zapas na pokrycie domu paryskiego 1,000,000, wątpliwe żądania 200,000. Zebranie żądało od komitetu giełdowego ustanowienia zarządu podupadłych interesów firmy. Głównymi jej wierzycielami są firmy zagraniczne (zwłaszcza w Paryżu i Berlinie), z którymi ona prowadziła operacje arbitrażowe. Najbardziej zainteresowane są: „Deutsche Bank“, „Berliner Handelsgesellschaft“ za siebie i za firmę Bret i Gelbke, Robert Warschauer i Sp. Instytucje petersburskie częściowo posiadają specjalne pokrycie i niepokryty ich udział w głównych bankach wynosi od 300—400,000 fr. w każdym. Bank ruski dla handlu zewnętrznego określa wysokość możliwej straty na sumę 180,000 rs., petersburski dyskontowy zainteresowany jest na sumę 400,000 fr., ale ma specjalne zabezpieczenie wartości 400,000. Günzburg do ostatniej chwili liczył na to, że będzie miał pomoc i w przeddzień upadku wydał jeszcze czeki na rachunek specjalny do jednego z banków petersburskich na sumę 200,000 rs. — obecnie niezapłacone. Bank przemysłowy, który posiada tych czeków na 100,000 rs., znalazł się skutkiem tego również na liście wierzycieli firmy. Podobno najcięższe ciężki krachu spadną na plecy *haute finance*, która najgłębiej i najłapczywiej maczała swoje ręce w nurtach wymiany i słusznie przeto poniesie karę. Co do publiczności i skrętnych ciułaczy grosza, to oni uspokajają się faktem, że ich wkłady, będąc dość ograniczone, znajdują się „we wzorowym porządku.“

**Ceny bieżące.** Warszawa, 22 i 23 marca. Dowozy na targ zbożowy na Pradze ciągle są dość znaczne. D. 22 marca wynosiły 57 wagonów: 14 żyta, 20 owsa, 2 jęczmienia, 15 kaszy jaglanej i 6 kukurydzy. Żyto słabo. Wyborowe kupowano po 123—126 kop., średnie po 118—122, pospolite od 108. Owies — bez zmiany. Wyborowy płacono po 90—97 kop., średni 82—88, pospolity od 76. Gryka 108—114. Jęczmień bez zmiany, na kaszę po 90—106 kop., na paszę po 80—88. Kasza jaglana słabo — po 128—145, kukurydza również. Bez pokupu 77—80 kop.

Okowita. Władro 100% rs. 10,85 netto. Władro 78% rs. 8,62. Dowozy i zapasy dostateczne. Uspobienie bardzo słabe. Cena Towarzystwa rektyfikacyi 10,93 rs. władro.

— Gdańsk, 21 marca. Pszenica miała znowu słabą „dążność.“ Towar tranzytowy bez obrotów. Terminy tranzyto: na kwiecień — maj 175 mar. płacono i 175 żądano; na czerwiec — lipiec 178 płacono i 177 poszukiwano. Żyto bez zmiany, towar tranzytowy bez obrotów. Terminy na kwiecień — maj 174 mar. (płacono). Cena regulacyjna dolno-polskiego 179, tranzytowe go — 177 m.

**Rynek pieniężny.** Berlin, 22 marca. Ruble w gotówce 204,80, na dostawę — 204,75. Kryzys jeszcze nie minął, ale ruble „zachowują się spokojnie.“

**Odczyty na osady rolne.** I w tym roku nie przerwał się łańcuch wykładów publicznych, z których dochód zasila kasę kolonii poprawczej. Rozpoczął je dr. Z. Kramsztyk pogadanką o szpitalach, w której nakreślił dzieje i postacie rozwojowe tych zakładów, od celkowych i pawilonowych do barakowych. Był to obraz bardzo pouczający. P. Z. Noskowski w trzech wykładach przedstawił historię muzyki, a raczej szereg wybitnych muzyków od Bacha do Chopina, zatrzymując się jednak głównie na momentach biograficznych. Dr. Jasiński mówił o pielęgnowaniu zdrowia za pomocą wzmacniania sił fizycznych, wskazawszy główne środki i kierunki ćwiczeń ciała.

**Uwaga.** Po każdym występie artystów na estradzie wybucha w sali mniejsze lub większe brawo i wołanie: *bis!* Niektórzy koncertanci wychodzą, kłaniają, znowu wychodzą, znowu się kłaniają, aż wreszcie zmuszeni krzykiem *bisowczyków* (przepraszamy za ten nowotwór językowy) grają lub śpiewają coś nad program. Otóż ponieważ nieraz to wywoływanie i upieranie się natarczywości trwa bardzo długo, a przez ten czas uszy niewinnych i nieuczestniczących w piekielnej wrzawie słuchaczy muszą wytrzymać straszliwy wycia i klaszkanie rąk, czy by nie dobrze było, ażeby artyści zawarli z publicznością jakąś umowę, aby ci, którzy chcą powtarzać rzeczy odegrane i odśpiewane lub dodawać coś nad program, czynili to natychmiast po zażądaniu, inni zaś nie czynili tego nigdy. W ten sposób i koncertanci obchodziliby tryumfy, i bisowczycy byliby zadowoleni, i świadkowie orgij oklaskowych nie znosiliby męczarni.

**Sprawy społeczne.** W drugiej połowie r. b. Inspekcja włączona wprowadzona będzie w pięciu guberniach, między innymi: w podolskiej i czernihowskiej. Ostatecznie zaś w całym państwie wraz z Królestwem Polskim będzie wprowadzona w życie 1894 r.

— Cech mydlarzy, który od czasu rozpowszechnienia się nafty i zaprowadzenia wolnego współzawodnictwa pomiędzy fabrykami, prowadzonymi przez ludzi niefachowych a majstrami fachowymi, przyszedł stopniowo do upadku materialnego i liczebnego — obecnie pod wpływem nowych rozporządzeń cechowych zaczyna się ożywiać i na nowo organizować. (*Kuryer warsz.*)

— Podług kontroli miejskiej, liczba szwaczek wynosi w Warszawie 13,715 osób, tj. 298 właścicielek magazynów i pracowni, 2,804 modniarek, 1,026 właścicielek szwalni, 1,750 właścicielek szwaczek, 3,500 pracowni w warsztatach kapelusznich, szewskich i krawieckich, 4,337 uczulnic.

— Bałtyckie Towarzystwo ubezpieczeń zawlesza swoją działalność w Królestwie Polskim z powodu strat tutaj poniesionych.

— Lwowskie Towarzystwo wzajemnej pomocy oficyalistów prywatnych liczyło (do 1 stycznia r. b.) członków 2,398 z 10,397 udziałów, czyli z roczną wkładką do funduszu dyspozycyjnego 41,588 złr. Wpłacono w r. z. na zapomogi stałe 48,689 złr., na datki 633 złr. Towarzystwo istnieje 24 lata i wydało na zapomogi przez ten czas ogółem 381,476 złr. Majątek wszystkich funduszy wynosi 540,048 złr.

**Zdrowie publiczne.** Gubernialna rada dobroczynna w Warszawie przyjmuje podania osób, które chcą się umieścić w szpitalu klecholskim za opłatą 60 kop. na dobę (za utrzymanie, mieszkanie, pożywienie, kąpiele i pomoc lekarską). Miejsc jest tylko 50, a sezon kuracyjny podzielono na trzy okresy; ogółem zatem 150 osób może korzystać z ulgi.

— Tyfus panuje na Solcu w Warszawie. Na Woli we wsi Załcze pod Warszawą i na folwarku Moczydło pod Warszawą ospa grasuje wśród dzieci i dorosłych.

— Wedle ogłoszonej w r. z. statystyki, w Austrii największy procent śmiertelności wykazuje Tarnopol (39,2), dalej Lwów 31, Kraków 33,9, Kołomyja 34, Brody 29,4 na 1,000 mieszkańców.

**Dobroczynność.** Warszawski dom sierot po robotnikach przy ul. Litewskiej, istniejący od lat czterech,



rozwiła się stale. W r. z. przytułek znalazło 24 sierot. Wszyscy wychowawcy zakładu uczęszczali do szkół.

— Przy ul. Pańskiej i Pokornej w ciągu zimy ubiegłej wydano ogółem 67,000 porcji herbaty gorącej z pieczywem za sumę 780 rs. Korzystało z posiłku 600 osób, przeważnie z warstw robotniczych.

**Sprawy kolejowe.** Z rozporządzenia zarządzającego ministerium komunikacji, S. J. Wittego, utworzono komisję, która w ciągu miesiąca ma opracować nowy rozkład jazdy na wszystkich kolejach ze zwiększeniem szybkości pociągów pocztowych i osobowych. Nowy rozkład zacznie obowiązywać od 13 maja.

— Władze administracyjne kraju noworuskiego i rząd miasta Mikołajowa starają się o zbudowanie kolei żelaznej od Humana do Mikołajowa, z przedłużeniem następnym do Chersonu.

— Dyrektor kolei Nadwiślańskiej z ramienia ministerium skarbu, Maksimow, milanowany został przewodniczącym komitetu taryfowego. Dyrektorem kolei Nadwiślańskiej milanowano naczelnika oddziału departamentu do spraw kolejowych, Ratkova.

**Wystawy i Zjazdy.** W r. 1893 odbędzie się w Petersburgu wystawa aeronautyki.

— Na wystawę przyrządów i narzędzi dla tłumienia pożarów, którą zapowiedziano w Petersburgu na maj, straż warszawska wysłała okazy, tudzież delegatów dla zaznajomienia się z najnowszymi ulepszeniami.

— Zjazd plantatorów tytoniu i wystawa okazów tytoniowych odbędzie się w r. b. w Petersburgu.

**Konkurs.** W dn. 19 b. m. rozstrzygnięto konkurs im. Józefa Kurjerowa. Nadesłano 16 obrazów olejnych i jedną rzeźbę w marmurze. Nagrodę w kwocie rs. 300 przyznano p. Antoniemu Olesińskiemu za rzeźbę „Biust kobiecy“.

**Szkoły.** Komitet wychowania publicznego i naukowy synodu prawosławnego zalecił do bibliotek średnich zakładów naukowych tudzież seminariów duchownych prawosławnych, wydawnictwo prof. uniwersytetu warszawskiego, Antoniego Budziłowicza p. t. „Język ogólnosłowiański w rzędzie innych języków ogólnych Europy starożytnej i nowożytnej.“

— W Humanu (gub. kijowska) miejscowe gimnazjum żeńskie z pozwolenia władzy wychowawczej będzie przekształcone na gimnazjum 8-klasowe.

— Na wniosek ministerjalny w okręgu naukowym dorpackim postanowiono utworzyć drugą posadę dyrektora szkół ludowych.

**Sądy.** Przy ogólnej reformie sądów handlowych w warszawskim sądzie pewne zmiany dla nadania jednolitości wszystkim czterem sądom handlowym w państwie. Sędziowie koronni pod względem praw i pensji będą zrównani z sędziami sądów okręgowych.

— Komisja specjalna, utworzona przy ministerium spraw wewnętrznych, opracowała projekt reformy śledztwa w Rosji, na mocy którego oskarżony ma otrzymać bezpośredniego udziału w ciągu całego śledztwa. Każda osoba, powołana do śledztwa, ma prawo otrzymywania wszelkich kopii z akt śledztwa, a przynajmniej prowadzący to ostatnie powinien zawiada-

ć o tem osoby interesowane. W razach wyjątkowych sędzia śledczy ma prawo niedopuszczyć osobiście oskarżonego do śledztwa. Przy zawiadaniu oskarżonego o ostatecznych wynikach śledztwa może się znajdować jego obrońca i robić uwagi w imieniu klienta. Po zamknięciu śledztwa oskarżony, o ile się znajduje w areszcie, może się widzieć ze swym obrońcą.

**Przemysł rolny.** Wkrótce z ramienia ministerium spraw wewnętrznych, skarbu i dóbr państwa, przedsięwzięte będzie badanie warunków przemysłu rolnego w całym państwie.

— Krakowskie towarzystwo rybackie zwróciło się z prośbą do ruskiego Towarzystwa popierania rybołówstwa i hodowli ryb w Petersburgu o poczynienie starań u władzy do wydania zakazu łowienia łososi w Wiśle od września do grudnia. Prośbę tę przyjęto bardzo przychylnie.

— Kilku wybitniejszych właścicieli winnic w Rosji stara się u ministerium dóbr państwa o dokonanie na południu rosi uprawy chińskiego krzewu winnego. Gatunek ten rośnie dużo w niektórych okolicach Chin, nie wymaga pielęgnowania i wydaje jagody duże i smaczne. Sok winogron chińskich, przechowany przez całą zimę w piwnicy, na włosnę fermentuje i zamienia się na wyborne wino koloru ciemno-czerwonego, przypominające smakiem tokaj i musujące, bez dodania wszelkich domieszek postronnych. Chiński krzew winny dawno już zaaklimatyzowano we Francji.

— **Mosk. wied.** donoszą iż istnieje projekt przeprowadzenia powszechnego spisu zapasów zboża we wszystkich miejscowościach państwa. Od rezultatów spisu zależy będzie rozstrzygnięcie sprawy, czy możliwym jest zezwolenie na wywóz zboża za granicę.

**Herbata.** Kupcy w Moskwie, prowadzący handel herbatą, otrzymali od agentów swych w Chinach zawiadomienia, że ceny tego produktu są obecnie o półtora razy wyższe od zeszłorocznych, przyczem herbata lepszego gatunku jest niezmiernie mało, z powodu złego urodzaju tegorocznego. W obawie pozostańa bez ostatecznych zapasów, kupcy polecają agentom nabywać herbatę po cenie istniejącej, w ilości jednak o połowę mniejszej od zamówionej. Środek ten odniósł skutek pożądaný i cena stopniowo zaczęła się zniżać, tak że gatunki wyższe są zaledwie o 60%. Średnie o 30—40%, a najniższe o 20% droższe, w porównaniu z cenami zeszłorocznymi.

**Zapalki.** Według zebranych przez ministerium skarbu w ostatnich czasach wiadomości, fabrykacja zapalek dosięgła już takiego rozwoju w Rosji, że może zaspakajać wszystkie potrzeby ludności. W r. z. przywieziono do Rosji przez granicę europejską około 345 pudów zapalek, podczas gdy dawniej przed wprowadzeniem opłaty celnej, przywóz wynosił przeciętnie 35,000 pudów rocznie.

**Wyroby jubilerskie** od 13 stycznia r. b. w handlu podrozały przeszło o 8%, z powodu podwyższenia opłaty probierczej w dwójnasób, to jest do kop. 50 (z kop. 25) od dukata czystego złota. Tak samo droższe są obe-

nie wyroby srebrne; dawniej (do 13 stycznia r. b.) pobierano za dokonanie próby kop. 2 od luta, obecnie oplata ta wynosi kop. 4.

**Wypadki.** Z Prażi czeskiej donoszą, iż w Reichenbach spłonęła wielka przędzalnia: 600 robotników zostało bez zajęcia.

**Zmarli.** Tadeusz Chrzanowski, w Zabłudowie; b. dyrektor kolei Terespońskiej.

— Feliks Szybański, w Krakowie; artysta malarz i profesor Akademii.

— Otto Glogau, znany z protestów przeciwko nadużyciom, wydawca pisma *Culturkämpfer*, zmarł w Berlinie.

— Rabenius, autor wielu dzieł ekonomicznych, prof. w Upsali.

— Dr. Fr. von Löhrer, w Monachium, pisarz historyczny, uczonej i podróżnik, b. profesor monachijski.

— Dr. Wł. Zielony, w Pradze; redaktor pisma p. t. *Ilas naroda*.

— Mis Clough, założycielka kolegium Newnham dla dziewcząt w Cambridge; znana z szerzenia oświaty wśród kobiet angielskich.

Do dzisiejszego numeru dołączamy bezpłatny dodatek kwartalny, ark. 1—6 **Fizjologii Huxloya**.

**SPÓŁKA NAKŁADOWA**

poleca:

**ŚPIEWNIK DLA DZIECI**

słowa

Maryi Konopnickiej,

muzyka

Zygmunta Noskowskiego.

Wydanie ozdobne, z rysunkami Władysława Podkowńskiego, zawiera 50 piosenek z towarzyszeniem fortepianu i tekst oddzielny.

Cena rs. 2 k. 50, z przesyłką rs. 2 k. 70.

W biurze i ekspedycji Spółki Nakładowej (Warszawa, Marszałkowska, Nr. 95) i we wszystkich księgarniach.



**O G E O S Z E N I A.**

**Wydawnictwa „Prawdy.“**

- J. Brandes. Główne prądy literatury XIX w., tomów cztery, tom. K. Lewald rs. 6.
- Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczy niemieckich ułożona — rs. 3.
- L. Llard. Logika, tłum. K. Lewald — rs. 1.
- A. Espinas. Społeczeństwa zwierzęce, wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socjologii — rs. 3.
- Uwaga.* Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą za połowę ceny. Na koszt przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.
- E. Taylor. Zmyślność i moralność roślin (w oprowie) — rs. 1 k. 50.
- L. H. Morgan. Społeczeństwo pierwotne, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacji, przekład A. Bakowskiej — rs. 3 (z przesyłką rs. 3 k. 50).
- J. Barni i A. Krzyżanowski. Męczennicy myśli (w oprowie) — rs. 1.

- W. Okoński. Dramaty (Antea, Na targu Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) — rs. 1.
- **O życie**, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug., Damian Capenko — k. 50.
- **Klemens Boruta**, powieść — k. 40.
- **Niewinni**, dramat w trzech aktach — k. 80, z przesyłką rs. 1.
- Dr. Azam. Charakter w zdrowiu i w chorobie — rs. 1.
- N. Hirsband. Byron w urywkach — rs. 1 kop. 20 z przesyłką rs. 1 k. 25.
- Dr. F. Rajkowski. Poradnik lekarski wraz z apteką domową (w oprowie), rs. 1, z przes. rs. 1 k. 20.
- K. Lewald. Historia XIX w. od r. 1800—1888 — rs. 3 k. 30, z przesyłką rs. 3 k. 60.
- E. B. Tylor. Antropologia z ilustracjami, w przekładzie A. Bakowskiej — rs. 2, z przesyłką pocztową rs. 2 kop. 25.
- M. Mignet. Historia Rewolucji francuskiej, tomów dwa — rs. 2, z przesyłką rs. 2 k. 25.

**Spółka Nakładowa**

zawładana przez grono pisarzy polskich, ma na celu wydawanie dzieł pierwszorzędnej wartości naukowej i literackiej, oryginalnych i tłumaczonych, wzbogacających istotnie umysłowe zasoby kraju. W przekonaniu, że literatura stanowi ważny i trwały grunt do życia i rozwoju społeczeństwa, że mu dostarcza siły żywotnych. Spółka Nakładowa gruntu ten w miarę swej mocy rozszerza nabytkami książkowymi rzetelnej i nieprzygodnej ceny. Dotąd wydane dzieła dość wyraźnie już określają klerunek i charakter jej przedsięwzięcia.

- Brandes Jerzy. Główne prądy literatury europejskiej XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Francji, z portretem autora, str. 402 rs. 2.
- Chmielowski Piotr dr. Autorki polskie wieku XIX, studjum literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 — rs. 2 k. 50.
- Gumplowicz L. System socjologii — rs. 3 k. 30.
- Heine Henryk. Wybór pism, t. I, w przekładzie Maryi Konopnickiej, Józefa Kościelskiego, Aleksandra Kraushara i innych. Wydanie ozdobne, z portretem autora, str. 298 — rs. 1 k. 20.
- Wybór pism, t. II. Podróż do Harcu, Włochy, w przekładzie M. Gawalewicza, C. Jeleny i Maryi Konopnickiej. Str. XIII i 327 — rs. 1 k. 50.
- A. Okolski Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych A. P. — rs. 3.
- Smoleński Władysław. Drobnaszlachta w Królestwie Polskiem, studjum etnograficzno-społeczne, str. 66 — kop. 60.
- Spencer Herbert. Zasady etyki, z 3-go wydania oryginalnego angielskiego przełożył Jan Karłowicz, str. 310 — rs. 2.
- Prus Bolesław (Aleksander Głowacki). Szkice i obrazki, tomów cztery, z portretem autora — rs. 5, w ozdobnej oprowie rs. 6 k. 20.
- Światłko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. Najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej. W ozdobnej oprowie z drzeworytami w tekście, str. 274 — rs. 1 kop. 80.

Na koszt przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

Biuro i eksped. Spółki Nakładowej: Warszawa, Marszałkowska, 95